

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

W NUMERZE m. in.:

A. MICEWSKI — Polityczna wymowa procesu krakowskiego  
W. KETRZYŃSKI — O entuzjazmie i oporach  
G. KOZŁOWSKI — „Ktoś piszący z Warszawy”  
D. REYLANDT — Problemy Afryki Południowej  
Z. BEDNORZ — Ksiądz Ziss prosi o przebaczenie  
S. BLAUT — W pogoni za oryginalnością  
A. AKSAK — Przeciw pewnemu artykulowi

Cena 60 gr.

Rok IX

Warszawa, 1 lutego 1953

Nr 5 (375)

Stefania SKWARCZYŃSKA

## O KRUCJACIE

(LIST OTWARTY)

SZANOWNA REDAKCJO

Zapytuję jakie jest moje stanowisko wobec hasła krucjaty pod którym ośrodki polityczne na Zachodzie reaktują hitlerowski Wehrmacht przygotowując agresywną wojnę przeciw Związkowi Radzieckiemu i przeciw krajom Demokracji Ludowej: wojnę, którą jawnie zagraża naszym granicom, podstawom naszego narodowego bytu, warunkom naszego historycznego rozwoju. Ujam, że sami traktujecie swoje zapytanie jako pytanie retoryczne, bo wiecie że w tej sprawie jedna może być tylko odpowiedź Polaka i katolika. Polak musi zaprotestować przeciw temu, by ktokolwiek zakwestionował granice Polski; Polak musi zaprotestować przeciw czyemukolwiek projektowi niesienia śmierci, ruin, zagłady tego, co cały naród w najwyższym wysiłku zbudował w ostatnich latach; Polak musi zaprotestować przeciw każdej interwencji w sprawę decyzji polskiego narodu co do fundamentów na jakich chce budować swoją przyszłość. — Katolik musi jak najenergiczniej zaprotestować przeciw nadużyciu dla propagandy politycznej najświętszego dla niego znaku Krzyża, który osadzony jest w tronie propagandowego słowa: krucjata. Musi zaprotestować, by sztandar agresywnej wojny, równoznacznej z przemocą, gwałtem i grabieżą, wojny w interesie amerykańskiego imperializmu, w interesie międzynarodowego kapitału, znaczący był znakiem Krzyża, który znaczy dla nas: odkupienie świata, bezbrzeżna miłość Boga dla człowieka — po to, aby swoim świętym czałem uwodzić masy ludzi prostych, naiwnych, niezorientowanych w sytuacji w akcję niosącą światu mord, grabież, zniszczenie, krywdę i ucisk człowieka. Bóg jest miłością; Bogiem, który jest miłością nie wolno sygnować nienawiści. Nie ma chyba katolika, któryby temu zaprzeczył.

brzmiałe szczególną wobec niej odpornością to dlatego, że ma tu coś do dorzucenia Polak o świadomości historycznej na temat obranego przez ośrodki polityczne na Zachodzie ukształtowania tej wojennej propagandy.

Neofaszyzm mobilizuje do wojny niszycielskiej, do wojny, która ma nieść zagładę światu budującemu się na nowych podstawach nie tylko czar Krzyża, ale i autorytet faktów z dalekiej średniowiecznej przeszłości, autorytet krucjat. Boć, oczywiście, przyznaje im autorytet, boć oczywiście, afirmuje je bez reszty, skoro chce wskrzesić ich sens dziejowy i religijny. Nowa krucjata w propagandowym sformułowaniu agresywnej wojny — toć aluzja do dawnych krucjat. I ten właśnie chwyt propagandowy musi co najmniej zdziwić człowieka myślącego kategoriami historii i kategoriami myśli katolickiej. Czyż tam na Zachodzie, doprawdy średniowieczne krucjaty chodzą w glorii przysługującej zdarzeniom historycznym przyspieszającym na prostej linii swoich intencji rozwój i dojrzewanie ludzkości do przyszłości lepszej. ujawniającym wartościowe siły kształtujące rzeczywistość, jakiś wielki program przyswiecający ich organizatorom dla dobra świata? Czyż myśl chrześcijańska błogosławiąca je znakiem Krzyża może się pochłubić poszerzeniem przez nie Królestwa Bożego na ziemi? Oczywiście nikt nie kwestionuje dobrej wiary jednostek, szczerego zapалу i jednostek i — nawet — mas biorących udział w wyprawach krzyżowych. Ale musi się dziś zarysować jakiś bolesny znak zapytania pod adresem wypraw niosących śmierć, grabież, zniszczenia pod hasłem Krzyża. Wystarczy przypomnieć losy Bizancjum; wystarczy przypomnieć wyrznięcie 2000 jeńców w Akrze z powodu opóźnienia wykupu. Wystarczy sobie uprzytomnić do jakiego stopnia wyprawy te zżerały nie tylko przeciwnika nie mając szans by komukolwiek przynieść prawdę wiary — ale i szeregi własnych uczestników, ubożąc ich siły, także moralne, umniejszając przyszłość katolickiego świata. Dyskredytowały przecież w oczach Wschodu wielkość religii chrześcijańskiej przez zachowanie się rycerstwa, które przeniósłszy na nowy grunt system feudalny dawało gorszący przykład wewnętrznym sporów, wzajemnych nienawiści, chciwości i grabieży. Czyż można gloryfikować straszliwą pomyłkę

chrześcijaństwa, wynikłą z zapomnienia o słowach Chrystusa, że po tym was poznają, że się wzajemnie miłować będziecie, straszliwą pomyłką jaką były — rozciągnięte na trzy wieki — wyprawy krzyżowe, otwarte wyniszczeniem chłopstwa francuskiego i niemieckiego, które pierwsze zastało trupami drogę na wschód, a zamkniętą szaleńczą heka tombą krucjaty dziecięcej?

Zaiste drogo zapłaciło chrześcijaństwo wyprawami krzyżowymi za ten krok naprzód historii, jakim był rozwój handlu, wzbogacenie się miast, wysunięcie się na pierwszy plan historyczny wzbogaconego mieszczaństwa. Dziwna byłaby ironia historii, gdyby kłeską Boga, kłeską miłości Chrystusowej kupiono dzieje rozrostu mieszczaństwa miała „nowa krucjata“ przypieczętować drugą kłeską Boga, drugą kłeską miłości Chrystusowej w okrese jego rozkładu.

I nie sposób obronić się od myśli, że Polska, właśnie Polska, całą swoją historią drogo zapłaciła za błąd zaangażowania Krzyża w średniowieczne krucjaty. Po nich przecież został nam w spadku zakon krzyżacki, kolebka pruskiej buty i pruskiej nienawiści. To samo hasło co krucjatom patronowało krzyżackim napaściom na Polskę i Litwę, krzyżackiemu „Drang nach Osten“. Krzyżacy tłumaczyli swoje napaści tym, że walczą z niewiernymi, ze schizmatykami i poganami, jak — rzuconym na Europę pamsletem teutońskiego mnicha Falkenberga — określali nie tylko Rusów i Tatarów, biorących udział w bitwie pod Grunwaldem, ale i związanych z nimi Polaków i Litwinów, których — jak wyjaśniał pamslet — do chrztu przyprowadził diabeł, a których należy zgladzić z powierzchni ziemi razem z ich królem i na wieki osadzić w piekle. Z tym pseudo-religijnym uzasadnieniem — nie bez przychylnego — niestety — rezonansu w Europie, szczególnie na gruncie interesów politycznych cesarstwa rzymskiego — walczy Polska intensywnie. Koniec XIV w. i wiek XV — to ze strony Polski nie tylko okres odporów zbrojnych; to okres walki o argumenty prawne i religijne przeciw potędze krzyżactwa, rozrastającej się na ziemiach podarowanych mu przez papieża i cesarza i przeciw jego uzasadnieniom łupieskich wypraw.

Jesteśmy prawymi dziedzicami tych argumentów, tych zwycięskich (Dok. w. na str. 2-iej)



Obraz Madonny z Dzieciątkiem z kościoła w Ryczywole  
fot. Br. Preibisz.

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

## NA GROMNICZNĄ

APOSTROFA

Włócnio ze światła,  
Promieniu wąski  
Między ziemiami —  
Uderzaj w myśli,  
Splywaj na oczy  
Serca przełamuj...

LEGENDA

W czas, kiedy z ziaren żelaznych, płomień  
Otwierał wiatrom drogę przez miasto,  
Brunatnym drzewom, brzaskiem czerwonym,  
Apokalipsy lasem wyrastał;  
W okno kroplami powietrza trwożne,  
W przestrzeń drgającą przecuciem zgonów,  
Złoto-kwitnącą laską Aarona  
Wstawiła ręka pobożna.  
Pod blaskiem słabszym niż oddech kwiatu  
w popioł spłynęła pożarów fala  
I dom ocalał...

Dziś — nie przed wilkiem i błyskawicą  
Chronić świat Matko Najlepsza bądźziesz,  
Lecz nam ukazesz światłem gromnicy  
Różdżkę zieloną, wzloty gołębia.

PROŚBA

Oczyść nasze modlitwy  
z żądań, które nie dotknęły wieczności,  
z pragnień zbyt pysznych,  
usiłujących przeskoczyć dzień życia.

Naucz nas słów,  
w których prośby będą dziękczynieniem  
a skrucha radością.

Zatrzymaj śmierć  
jak wstrzymałaś ją przed progami  
starca Symeona —  
póki nie poczujemy  
w naszych rękach i sercach  
ciężaru Objawienia.

Andrzej MICEWSKI

# Polityczna wymowa procesu krakowskiego

**F**AKTY ujawnione na procesie duchownych z archidiecezji krakowskiej i księży z krakowskiej Kurii Metropolitalnej muszą przejmować każdego katolika najgłębszym bólem. Przemilczenie ich byłoby najbardziej oportunistycznym i szkodliwym tak z punktu widzenia katolickiego jak też patriotycznego stanowiskiem.

Proces polityczny w Krakowie zawlekał bardzo wiele poważnego materiału, z którego należy wydo być najbardziej charakterystyczne i posiadające największe znaczenie elementy.

\*

**P**IERWSZYM podstawowym elementem materiału, którego dostarczył katolickiej opinii publicznej proces krakowski jest bogaty w następstwa fakt określonej atmosfery i określonych stosunków panujących w krakowskiej Kurii Metropolitalnej. Zagadnienie to stanowi czynnik decydujący, z którego wywodzą się wszystkie inne o charakterze pochodnym. Atmosfera i stosunki panujące tam, personalny skład władz Kurii zdecydowały i zdeterminowały wszystkie inne fakty, tak bolesne dla katolickiej opinii społecznej. Atmosfera zdecydowanego sprzeciwu i wrogości wobec nowego porządku społecznego i politycznego, który nastąpił w Polsce po wyzwoleniu miała swoje źródło w postawieniu decydujących czynników Kurii na wojenny konflikt między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Socjalistycznych Republiki Radzieckich w postawieniu na trzecią wojnę światową. Koła kurialne, które dokonały takiego wyboru uzasadniały go przekonaniem, że polityka Państwa Watykańskiego w aktualnym okresie i w aktualnie istniejącym konflikcie światowym jest narzędziem polityki Stanów Zjednoczonych.

Takie pojmowanie postawy politycznej nie ma nic wspólnego z jakimś następstwem lub konsekwencją wynikającą z filozoficznych i światopoglądowych podstaw

katolicyzmu. Taka postawa polityczna jest w samej swej istocie nadużyciem chrześcijaństwa dla politycznych celów imperializmu Stanów Zjednoczonych. Jest faktem, że taka postawa wiążąca się wszystkimi nadziejami z trzecią wojną światową była prawie powszechna w kołach kierujących krakowską Kurią Metropolitalną. Wszystko inne w procesie księży i katolików świeckich w Krakowie było już konsekwencją tej atmosfery i opartych na niej stosunków w krakowskiej Kurii Metropolitalnej. Dlatego ten pierwszy i podstawowy element przewodu sądowego musiał głęboko wstrząsnąć całą polską społecznością katolicką. W krakowskiej Kurii postawa polityczna wroga ustrojowi Polski Ludowej prowadziła do szpiegostwa niektórych księży, do nielegalnych operacji dewizowych i finansowych, do demoralizowania młodzieży przez wciąganie jej w podziemie, do negocjacji i przeciwdziałania Porozumieniu Kościoła i Państwa oraz do dyskryminowania postępowych i pokojowo nastawionych sił duchowieństwa polskiego i katolików świeckich. Ocena wszystkich tych spraw musi w najbliższym czasie doprowadzić do przełomu.

Rzecz sprowadza się do tego, że wszystkie czynniki kierujące życiem kościelnym i w ogóle życiem społeczności katolickiej w Polsce muszą reprezentować postawę prze myślanego i przeżytego wobec Polski Ludowej patriotyzmu.

Przewód sądowy ujawnił działalność szpiegowską na terenie krakowskiej Kurii Metropolitalnej. Udział księży i w ogóle katolików w akcji szpiegowskiej trzeba ująć w dwóch płaszczyznach — moralnej i politycznej. Prosto linijność moralna postępowania ludzkiego tkwi tak głęboko w samej istocie moralnych założeń chrześcijań-

stwa, że tłumaczenie jej byłoby na łamach katolickich niezwykle żenujące. Ujawniona na procesie działalność jest w tej mierze sprze niewleżeniem się Ojczyźnie.

Polityczna płaszczyzna sprawy szpiegostwa w procesie krakowskim jest konsekwencją wrogości wobec Polski Ludowej. Z pozycji polskiej racji stanu jest ona zbrodnią godzącą w niepodległość narodową, w granicę na Odrze i Nysie i w ogóle w sam byt państwa polskiego. W dzisiejszych warunkach konkretnej sytuacji międzynarodowej szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych jest równoznaczne ze szpiegostwem na rzecz Niemiec zachodnich, na rzecz wojennego rewizjonizmu. Dlatego stanowi ono największą i najniebezpieczniejszą zbrodnię polityczną przeciwko narodowi polskiemu i całej jego przyszłości.

\*

**B**ARDZO upokarzającym dla katolika elementem wynikającym z przewodu sądowego w krakowskim procesie jest strona materialna działalności oskarżonych. Cała ta sprawa ilustruje jak imperializm amerykański za pieniądze chce kupować w Polsce dywersantów i szpiegów i w jak gorzący sposób księża i katolicy z procesu krakowskiego ulegli srebrnikom zagranicznemu.

Następnym elementem, którego niesposób nie wyciągnąć z krakowskiego procesu jest sprawa używania organizacji religijnych młodzieży np. KSMM do antypolskiej pracy podziemnej. Dostarcza nie młodzieży obcemu wywiadowi rękami polskich kapłanów i polskich katolików świeckich jest rzecz potworna i dlatego trzeba było także i tę bolesną sprawę porużyć.

Nadużywanie autorytetu kapłańskiego do wciągania młodzieży do działalności antypaństwowej musi budzić wielkie rozgoryczenie wśród

katolickiej opinii społecznej. Wszystkie pozostałe charakterystyczne elementy z krakowskiego procesu księży i katolików oraz duchownych z Kurii Metropolitalnej można w gruncie rzeczy sprowadzić do negowania świadomego, a co za tym idzie świadomego nierealizowania obowiązków, jakie wynikają z postanowień zawartych w Porozumieniu między Kościołem katolickim a Państwem Ludowym z dnia 14 kwietnia 1950 roku.

W krakowskiej Kurii Metropolitalnej odrzuciło się Porozumienie Kościoła i Państwa. Konsekwencją tego była polityka dyskryminacji wobec księży, którzy chcieli wykonywać zasady Porozumienia, nadużywanie religii, miejsc kultu i budynku kurialnego, dla prowadzenia polityki antypolskiej. Warto sobie z tego wszystkiego zdać sprawę w sytuacji obecnej, kiedy sprawa Porozumienia Kościoła i Państwa, sprawa utrzymania i kontynuowania jego linii zależy od wyciągnięcia z Układu kwietniowego wszystkich konsekwencji w kierunku przekształcenia własnej świadomości ideowo politycznej.

\*

**P**ROCES krakowski musi spowodować bardzo zasadnicze zmiany. Poświęćmy najpierw kilka słów sytuacji w jakiej znajdujemy się obecnie. Sytuacja ta charakteryzuje się wzrastającymi przygotowaniami wojennymi imperializmu amerykańskiego, który w najbliższym czasie zamierza doprowadzić do ratyfikacji przez parlament boński Układu Ogólnego państw zachodnich z Niemcami zachodnimi i w ten sposób ostatecznie stworzyć agresywną armię zachodnio - europejską, której główną częścią składową będzie zachodnio - niemiecki Wehrmacht. To stwarza bezpośrednie zagrożenie pokoju światowego oraz bezpośrednie zagrożenie polskiej granicy nad Odrą i Nysą i wszystkich zasad polskiej racji stanu.

Polska Ludowa w oparciu o sojusz ze Związkiem Radzieckim stworzyła podstawy polityczne i bazę materialną oraz potencjał przemysłowy do obrony granicy zachodniej i zasad polskiej racji stanu. Sprawa pokoju w Europie jest jednocześnie broniona przez masy społeczne wszystkich narodów.

W tej sytuacji naród polski zjednoczył się pod przewodnictwem Bolesława Bieruła i Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej we Froncie Narodowym, którego czynnikiem wzmacniającym jest Porozumienie Kościoła i Państwa. Siła i dynamizm Frontu Narodowego skupiającego Polaków bez względu na różnice światopoglądowe jest tak wielka, a jego słuszność polityczna tak oczywista, że kapitulują wobec nich wszyscy dawni przeciwnicy nowego porządku w Polsce, jeżeli mają choć trochę dobrej woli. Przykładem tego było ujawnienie się kierowników nielegalnej organizacji WiN, a m. in. także zamieszczona w „Słowie Powszechnym” oświadczenie ks. Stanisława Kluza, który zerwał z podziemiem. Warto się wyczytać w wywody księdza Kluza, którego wroga Polsce ra diostacja „Wolna Europa” niedawno jeszcze nazywała „przyjacielem młodzieży”, a który jakże przekonująco pisze jak trudna była jego droga do Polski Ludowej, ale jednocześnie o tym, że każdy uczciwy człowiek musi na tę drogę wejść.

I kiedy tak przedstawia się rzeczywistość społeczna w Polsce

znajdujemy się jednocześnie w sytuacji, w której zawarte przed blisko już trzema laty Porozumienie Kościoła i Państwa było w krakowskiej Kurii Metropolitalnej uznawane jako prawo martwe, a w skali ogólnopolskiej pewne czynniki kościelne nie wyciągały z tego Porozumienia ostatecznych konsekwencji.

Realizacja Porozumienia Kościoła i Państwa zależy od wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z faktów ujawnionych na procesie. Od politycznego oblicza księży zajmujących odpowiedzialne stanowiska we wszystkich kuriach diecezjalnych zależeć będzie w dużej mierze rozwój i perspektywy Kościoła i kultury opartej o światopogląd katolicki w Polsce Ludowej. Charakterystycznym czynnikiem przełomu musi być czerpanie ocen politycznych przez całe bez wyjątku duchowieństwo polskie z wymogów i zasad polskiej wspólczesnej racji stanu.

\*

**W**SZYSTKIE te sprawy niewątpliwie przjmują głęboko katolicką opinię społeczną, choć często leżą one w kompetencjach ściśle określonych organów hierarchii Kościoła katolickiego oraz władz państwowych. Katolicy polscy muszą odznaczać się poczuciem odpowiedzialności za dziejące się wypadki. Wstrząs świadomości ideowo politycznej katolików w wyniku faktów ujawnionych w trakcie procesu krakowskiego obejmuje całą katolicką społeczność w Polsce. Sytuacja jest za bardzo poważna, by można było sobie pozwolić na jakakolwiek zwłokę. Potrzebne są już tylko szybkie i konkretne fakty stwarzane przez kompetentną stronę katolicką, a świadczące, że bolesne doświadczenie jakiego przyniósł proces krakowski zostanie wykorzystane w kierunku powierzenia odpowiedzialnych stanowisk w Kurii diecezjalnych duchownym odznaczającym się godnością kapłańską i patriotyzmem wobec Polski Ludowej.

## O Krucjacie

(LIST OTWARTY)

(Dokończenie ze str. 1)

argumentów, tych argumentów roztozonych przez Polskę piórem i ustami wielkiego Polaka, jednego z największych myślicieli w swojej epoce, Pawła Włodkowica, który stanął przed forum Europy broniąc na soborze konstancjeńskim polskiej racji stanu i czystości chrześcijańskiej wiary. Nie zapominajmy, że te jego argumenty wówczas zwyciężyły — i nigdy — wówczas przyjęte przez sobór — nie zostały odwołane.

Do dziś, poprzez wieki, brzmią jasno i nieodwołalnie jego słowa, że gwałt i mord sprzeciwia się religii, że to co zabrane gwałtem nie może być przedmiotem prawnie ważnej darowizny, że wojna agresywna usprawiedliwiana tym, że zwrócona jest przeciw niewiernym nie może być poczytana za „bellum iustum”, albowiem i niewierni należą do owczarni Chrystusowej, a zatem i do nich odnosi się nakaz miłości i nad nimi rozciąga się opiekuńcza władza namiestnika Chrystusowego na ziemi. Głęboka nie tylko politycznie, ale i religijnie

myśl Pawła Włodkowica, tylokrrotnie przezeń formułowana, patronuje przez całe jego życie jego akcjom dyplomatycznym i przed Grunwaldem i po Grunwaldzie i przed soborem konstancjeńskim i w czasie soboru i po soborze. Ta głęboka, dynamiczna myśl, która wyrwała papieżowi Bonifacemu IX. bullę przeciw Krzyżakom w 1403 r. z zakazem napisać na Litwę, która na soborze skłoniła wyłonioną zeń komisję do potępienia i uwięzienia — zresztą krótkotrwałego — najmitę zapewne krzyżackiego, oszczercy Falkenberga — ta myśl dynamiczna, ta myśl ewangeliczna była jedną z najbardziej postępowych myśli w czasach dla Kościoła tak trudnych i tragicznych. I tę myśl, z której my, Polacy jesteśmy szczególnie dumni, której jesteśmy spadkobiercami w prostej linii — pragniemy dziś przypomnieć światu, światu, starszemu od tamtych czasów o przeszło pół tysiąca lat, które snąc

nie wystarczały, aby zyskała niekwestionowane prawo obywatelstwa w katolickiej świadomości.

Przypominamy światu, że nie wolno do czyichkolwiek ciasnych interesów przypinać znaku Krzyża, aby nim sygnować gwałt i mord. Że nie wolno wojny agresywnej traktować jako wojny sprawiedliwej. Że nie wolno katolikowi dzielić świata na świat wiernych i niewiernych, bo jedna jest owczarnia Chrystusowa i jedna obowiązująca w niej miłość. Że nie wolno, aby mamić masy, nadużywać znaku Krzyża, znaku naszej wiary, nadziei i miłości. I że nikt nie ma takiego prawa i obowiązku o tym mówić, jak właśnie Polak, całą swą historią płacący za błąd myśli średniowiecznej, której wyrazem były krucjaty, ich spadek: zakon krzyżowy i duch pruski, dziś eksploatowany przez imperializm amerykański; jak właśnie Polak, dziedzic myśli Pawła Włodkowica; jak właśnie Polak i katolik.

Stefania Skwarczyńska

677	BERNANOS	LISTY tom I przekład ks. prof. J. Czujca cena 34 zł
7	PASCAL	MYŚLI z przedm. prof. S. Skwarczyńskiej cena 32 zł
8	BERNANOS	ZAKŁAMANIE (L'imposture) powieść cena 20 zł.
9	INDRETT	OLAF SYN AUDUNA tom II cena 38 zł
10	KOLENDO	SZUKAJĄC DROGI powieść cena 20 zł
11	LEPKOWSKI	LUDZIE ZNAD ZATOKI cena 15 zł.
12	ROGALSKI	KATOLICYZM W NIEMCZECH PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ cena 20 zł.

Wysyła Biuro Sprzedaży Sp. Wyd. „PAX”. Warszawa, Mokotowska 43, po wpłaceniu należności na konto P. K. O. nr I-3515

Wojciech KETRZYŃSKI

# O entuzjazmie i oporach

W ZASADZIE nie biorę na serio listów anonimowych. Jeśli są utrzymane w tonie napastliwo-obrazliwym, traktuję je jako przejaw mniej czy bardziej nieszkodliwego wariactwa i wędrują one nieodmiennie do kosza. Jeśli mają charakter polemiczny, czytam uważnie, lecz odpowiadam na nie na łamach prasowych niechętnie. Anonim bowiem dowodzi przede wszystkim, że autor nie ma zaufania do swego adresata i nie chce wobec tego odstąpić przyłbicy. Okoliczność nie zachęcająca do podjęcia polemiki. Obok względu personalnego istnieje również powód merytoryczny: anonim, to człowiek, który pisze w poczuciu, że nie bierze odpowiedzialności za swoje słowa. Z reguły też listy anonimowe zawierają sporą dżę argumentów niesłychanie demagogicznych, płytkich, sformułowań w pełni nieodpowiedzialnych. Autorzy dają tą drogą foleg najróżniejszym kompleksom i przeczuleniom, których by w żadnym razie nie ujawnili w innych okolicznościach. Biorąc zaś pod uwagę, że nie można wykluczać obok tych wynaturzeń i bzdur argumentów nawet czasem bardzo poważnych i rzeczowych — publicysta odpowiadający na taki list staje przed zadaniem bardzo trudnym. Polemizować z argumentami anonima, to dać się nieraz wciągnąć na wertepy najbardziej niepoważnej czasem i nieodpowiedzialnej problematyki. Nie odpowiedzieć, to nieraz, dać swemu antagoniście nowy argument. Każdy bowiem taki list kończy się nieodmiennie formułką — „Jeśli pan mi nie odpowie — to znaczy, że ja mam rację...”

Ja jednak zazwyczaj wolę pozostawić mego anonimowego polemistę w przeświadczeniu że ma rację. Zapewne, cokolwiek bym napisał, i tak by nie uznał się za pokonanego.

Cały ten długi wywód wiąże się z faktem, że w teczce mojej leży już od dłuższego czasu taki właśnie anonimowy list. Nie bagatela, całych pięć stron pisma maszynowego. Nie mogę powiedzieć, by list był od rzeczy. Są w nim partie ciekawe, są i słuszne. Ton wykazuje na kulturę i inteligencję autora. Nie mniej jednak korespondencja ta nie wylamuje się z reguły. Oczywiście autor nie uważa za wskazane ani odsłonić swego nazwiska, ani nawet odwieść mnie w redakcji, zadawała się stwierdzeniem: „wielka szkoda, że nie możemy ze sobą polemizować prywatnie”. Oczywiście obok spraw poważnych stawia równorzędnie sformułowania najbardziej niepoważne. Oczywiście kończy wezwaniem „Jeśli Pan zdobędzie się na omówienie w powyższym artykule wszystkich postawionych problemów, będę skłonny uwierzyć...”

A to niech nie wierzy, pomyślałem sobie i odłożyłem list „ad acta”.

## HISTORIA PEWNEGO POGLĄDU NA ŚWIAT

PRZYPOMNIAŁEM sobie o nim w okresie kampanii w sprawie regulacji cen i zniesienia bonów żywnościowych. Z jednej strony, jak każdy obywatel, trąszczyłem się o zrównoważenie budżetu domowego, dość wstrząśniętego nowym układem cen i płac. Z drugiej jednak strony, jako dziennikarz i publicysta nadstawiałem ucha, łowiłem reakcje najróżniejszych środowisk, zbierałem opinie za — i przeciw, pracowałem nad pogłębieniem własnego stanowiska i własnych argumentów. Wówczas wydołyłem ponownie od rzucony list i zauważyłem, jak niektóre jego sformułowania pokrywa się bardzo z niejednym, usłysza-

nym przelotnie w rozmowie, na ulicy, w tramwaju poglądem.

Zastanowiłem się wówczas, co też pan X.Y. mógł myśleć i mówić na temat tych reform gospodarczych, on, który żyje przeświadczeniem, że reprezentuje poglądy „szarego człowieka” i że do państwa „nie można mieć zaufania”.

Panów X.Y.-ów jest niewątpliwie jeszcze dużo. Rekrutują się przeważnie z dawnej, przedwojennej inteligencji. Nie oznacza to, że muszą to być od razu byli ziemianie czy fabrykanci. Nie, są to po prostu ludzie, którzy wyrosli w pewnej, specjalnej atmosferze, nie potrafili się od niej wyzwolić, nie potrafili popatrzeć krytycznie na własną przeszłość, ani tym bardziej, popatrzeć obiektywnie na teraźniejszość.

Spotykam czasami w restauracji kelnera, który przed wojną usługiwał w jednej z najdroższych restauracji Warszawy. Pracuje dobrze, podaje szybko, sprawnie, grzecznie, ale nie może się powstrzymać, by czasem do mnie nie szepnąć. „Panie, ja całe życie byłem człowiekiem pracy — ale to wszystko nie dla mnie, ta cała demokracja!” Cóż mu odpowiedzieć. To uczciwy i pracowity człowiek, ale jego światopogląd zbudowany został pomiędzy Langnerem, Simonem i Steckim, Europejską i Klubem Myśliwskim. Ten świat go wychował i wywarł na nim niezatarte piętno. Wielu innych ludzi wychowały najróżniejsze światy i światki

naszej przedwojennej rzeczywistości. Ugniotły i uformowały według własnych potrzeb. Dziś nowa, socjalistyczna rzeczywistość natrafia na każdym kroku na takie opory i niezrozumienia. Gdy nie przekona, to łamie. Takie jest prawo historii. Jesteśmy wszyscy zainteresowani w tym, by proces naszych wewnętrznych przemian szedł po linii przekonywania i zdobywania nowych ludzi, a nie po drodze łamania, odrzucania, lub podporządkowania obojętnych. Lecz trzeba w tym pomóc. Dlatego właśnie w chwili obecnej wyciągnąłem spowrotem list pana X.Y. i spróbuję niektóre jego myśli naświetlić.

## PONAD SIŁY LUDZKOŚCI

NIE jestem ekonomistą, wiele tajemników tej niezmiernie ważnej dla współczesnego człowieka wiedzy jest dla mnie niestety najzupełniej niedostępnych. Na temat dokonanej reformy gospodarczej mam też, bezwzględnie, poglądy dość powierzchowne. Wiem jednak, że w ekonomice nic się nie tworzy z niczego i że za wielkie osiągnięcia społeczne, oświatowe, przemysłowe, inwestycyjne, cały naród musi płacić nie tylko pracą, ale i cierpliwością w oczekiwaniu na jej wyniki. Uświadamiam sobie wreszcie, że na ogół poziom wiedzy o sprawach ekonomicznych jest w Polsce jeszcze bardzo niski i że trzeba jeszcze wielu wysiłków

nim nauczymy się wszyscy po gospodarsku myśleć o sprawach naszego kraju.

Myślę, że tu tkwi źródło jednej z najpoważniejszych trudności, na jakie się dziś napotyka. Mamy za sobą głębokie tradycje walki niepodległościowych. Nasz patriotyzm narodowy wychował się na konsekwentnym realizowaniu nakazu, że trzeba umieć na polu walki poświęcić życie za ojczyznę, trzeba umieć o jej sprawę walczyć i cierpieć. Tradycja budowania wielkości kraju u nas tak jakby nie egzystuje.

„Zgadzą się wszyscy z tym, pisze pan X.Y. że w oczach naszych dokonują się wielkie przemiany. Całe nasze życie polityczne, społeczne, kulturalne i gospodarcze jest konsekwentnie przestawiane na torze ustroju socjalistycznego. Przyszedł czas, że odbywa się to z wielką siłą witalną, dynamiką i wytrwałością. Są to fakty tak oczywiste, że trzeba być głupcem i ślepcem, aby temu zaprzeczać”.

Tak, z tym zgadzamy się wszyscy. Niemniej, muszę z okazji tych pierwszych słów przypomnieć, że to nie żadna sztuka stwierdzić to w roku 1953. Ileż jednak „głupców i ślepców” nie rozumiało, zwalczało plany i system, któremu zawdzięczamy tę siłę witalną, dynamikę, wytrwałość, którą pan X.Y. pochwała.

Pochwała zresztą skąpa, wstręmięliwa. Pochwała, za którą nadszedłaby oczywiście nieodzwonne „ALE”.

„Cały ten budulec socjalistyczny przerasta możliwości ludzkie, tak fizyczne jak i moralne, stwierdza nasz anonim. Sam przecież słyszałem, jak jeden z aktywistów wołał na zebraniu: „Tu nie ma miejsca na 8-godzinny dzień pracy, na odrobienie swych obowiązków było jak. Dziś trzeba zapracowywać się do siódmego potu, choćby miał upaść pod brzemieniem tej pracy! Ty masz swoje życie poświęcić, swoją wygodę aby twoim dzieciom było dobrze”.

To bardzo piękne, ale nie realne, komentuje pan X.Y. Nikt nie chce rezygnować z swego życia, z swej wygody, bo to jest bohaterstwo. I to jest właśnie cechą wyścigu budownictwa socjalistycznego, że za wielką wymaga (podkr. X.Y.), że jest bezwzględnie w realizowaniu, że nie ogląda się na możliwości ludzkie”.

## BOHATERSTWO WALKI — BOHATERSTWO PRACY

POZOSTAWIAM na boku specyficzny styl przemówienia o „aktywisty”. Nie przeczę, że mógł wyrzec akurat te słowa, mam jednak nadzieję, że nie rzucał ich na wiatr. Zajmijmy się jednak raczej wnioskami, które trafiają chyba w sedno najważniejszego problemu naszych czasów. Na imię mu —

(Ciąg dalszy na str. 4)

# Biskup Chappoulie o czasach św. Remigiusza i współczesnej postawie chrześcijan

CZASY św. Remigiusza to wiek V po Chr., epoka upadku cywilizacji rzymskiej pod naporem nowych form i treści, niesionych przez ekspansję młodych ludów. Ale nie rozważania historyczne mają być przedmiotem niniejszych uwag, lecz nauka dziejowa płynąca z analogii przeprowadzonej między czasami, w których żył i działał święty biskup Reims, a epoką nam współczesną. Elementem zasadniczym tej analogii jest występowanie w obu wypadkach zjawisko przesłania się pewnej formy historycznej, w ramach której rozwijało się życie Kościoła, oraz jednocześnie fakt rodzenia się nowej cywilizacji. Oczywiście nie wolno posuwać analogii zbyt daleko. Katolik nie może odłożyć swego wyboru — między odchodzącym „wczoraj”, a rodzącym się „jutro” — na kiedyś potem, jak się sprawy bardziej wyklarują. Wręcz przeciwnie, wyboru trzeba dokonać już teraz, zaraz, natychmiast. Bowiem — jak to powiedział kiedyś kardynał Suhard — Bóg w swej wszechmocy raczył powierzyć nam troskę uczestniczenia dzięki Jego łasce w dziele wzrostu Kościoła, który będzie Jego dziełem, lecz my — wykonawcami.

Te wstępne uwagi mają za zadanie wprowadzić nas w treść wystąpienia biskupa Angers ks. Chappoulie poświęconego pamięci św. Remigiusza jako tego, który w tamtych trudnych i niepewnych czasach zdobył się na odwagę otwartego, nastawionego w przyszłość stosunku do nowej cywilizacji. Św. Remigiusz zdawał sobie bowiem z tego, że misja Kościoła nie kończy się z kresem jakiejś określonej historycznej formy cywilizacyjnej.

Biskup Chappoulie podkreśla całą trudność sytuacji św. Remigiusza. To tylko z perspektywy piętnastu wieków może nam się wydawać, że wówczas kierunek decyzji był oczywisty i łatwy. Wtedy na wybór było równie trudno

się zdobyć jak jest dzisiaj dla wielu z nas.

„Historia z łatwością rozwiązuje problemy — pisze biskup Chappoulie — które, wówczas gdy stała przed nami, wcale nie wydają się nam takie proste do rozwiązania. Wokół św. Remigiusza wszystko było ciemne i niejasne, choć dziś wydaje się nam takie proste. Potrzeba było by biskupa z Reims miał tak głęboką i przewidującą inteligencję oraz wielką siłę ducha by wybrać drogę, którą poszedł. Wiele z współczesnych mu ludzi uważało politykę jego w stosunku do Kłodwiga za bezbożniczą i zdradą nazywano jego odwagę przyjęcia wobec barbarzyńców postawy przyjacielskiej.

Tak samo i dziś, po to by zrozumieć tę siłę, której nie można powstrzymać, która kieruje świat w stronę nowej formy cywilizacji trzeba tak jak w V wieku wiele inteligencji i siły. Potrzeba nam cibrzymiej miłości Boga i ludzi, wiele wyrzeczeń i wiele wiary by oswobodzić się od dawnego sposobu rozumowania i odczuwania który stał się dla nas katolików wprost tradycyjny...”

Do tej okoliczności trudnego wyboru nawiązuje biskup Chappoulie podkreślając, że życie św. Remigiusza stanowi dla nas katolików przykład dzisiaj bardzo aktualny.

„Jeśli rzeczywiście pewien ustroj ekonomiczny — pisze on — a wraz z nim pewna forma cywilizacji toczą się przed naszymi oczami w przepaść, to naszym obowiązkiem jako synów Kościoła jest nie trząść się z przerażeniem przed przemianami, które stopniowo zmieniają oblicze świata, nie poddawać się obawie czy unosić złością, ale starać się zrozumieć a przede wszystkim starać się kochać.

Nie mamy prawa przywiązywać się do tego, co skazane jest na zagładę i

wiązać wieczną prawdą Ewangelii z zamierającymi i przejściowymi formami struktur społecznych, które będą dziełem ludzkim muszą być czasowe.

Dla przyszłości wiary niema większe go niebezpieczeństwa jak stan, w którym chrześcijańskie społeczeństwa przybrały by wobec ruchów robotniczych postawę wrogu lub przeciwstawiały by się ostatnim zdobyciom techniki. Misją chrześcijaństwa jest bowiem uduchawianie wszystkich przemian i prowadzenie ich do poddania się najwyższej przyczynie, Bogu, naszemu Stworzycielowi i naszemu Ojcu”.

Biskup Chappoulie nie tai trudności wyboru, przed jakim stoją chrześcijanie. Rozpada się dziś cywilizacja, którą chrześcijanie nie tylko ochrzczili, lecz w której zdobyli dla siebie miejsce, zapewnili Kościołowi wpływ i z którą wiąże się ich wiele drogich i ukochanych przyzwyczajęń. Ale, — jak mówi z wielką siłą przekonania biskup Chappoulie — nie byłoby nic bardziej żgnętego dla przyszłości wiary niż postawa wrogości ze strony chrześcijan wobec ruchu mas pracujących. Biskup Chappoulie traktuje uchwylił tutaj istotę współczesnego przesilenia historycznego: nie stanowi jej taki czy inny układ rozgrywek politycznych o władzę, lecz ruch mas pracujących całego świata w walce o należne im prawa kierowania drogami rozwoju społeczeństw. Zadaniem chrześcijan nie jest stawianie historii wprost przeciw i otwarcie Kościoła całej ludzkości. Bowiem żaden człowiek, ani naród, ani klasa społeczna nie mogą być wykluczone z uczestnictwa w boskim darze Wcielenia i Odkupienia, a zatem obowiązkiem chrześcijan, a przede wszystkim ich biskupów — podkreśla z naciskiem biskup z Angers — jest głoszenie Dobrej Nowiny wielkiej radości wszystkim społeczeństwom, każdej z następujących po

sobie kolejno i wzbogacających się do robkiem poprzednich — cywilizacji.

W dalszym ciągu swego wystąpienia biskup Chappoulie poświęca także uwagę dyskryminacji stosowanej nieraz przez część opinii katolickiej wobec tych chrześcijan, którzy pracują w takim właśnie duchu, jaki przyświecał św. Remigiuszowi.

„Oto wielu z nas — mówi biskup Chappoulie — z lekkim sercem, niemal bez zastanowienia chce w nich widzieć tylko niebezpiecznych nowinkarzy, pyszałków, czy demagogów, lub nawet drapieżnie wilki, wkładające się do owczarni w skórce owczej. A czyż nie byłoby rzeczą słuszniejszą myśleć o nich w ten sposób: są oni chrześcijanami, tak jak i ja, synami Kościoła, o sercu napewno bardziej gorącym i niż spokojnym, niż moje, a zatem na jakiej podstawie wolno coś od nich nasz szacunek, podziw i poparcie?”

Omówione tu wystąpienie biskupa Angers ks. Chappoulie przekracza swoją wagą problematykę tylko francuską. I choć są w nim punkty dotyczące szeregu zmiennych zagadnień rzeczywistości, które wydają nam się jednostronnie naświetlone, — to nie sposób nie widzieć głębszego i dalekosyżnego waloru tego wystąpienia, jego znaczenia dla katolików. Wskazuje ono z pozycji pouczania doktrynalnego perspektywę w jakiej współczesna nam złożona problematyka ustrojowo społeczna winna być przez katolików rozwiązywana.

Dla tych katolików, którzy są już czynnie zaangażowani we współpracę z budowniczymi na nowych zasadach społecznych opartej cywilizacji, wystąpienie to jest źródłem wielkiej otuchy. Wskazując trudności biskup Chappoulie jednocześnie przypomina, że Kościół i chrześcijaństwo ofiarowane ludzkości wszystkim czasom, nie mogą dać się zepchnąć na pozycję obrońców tego świata, który odchodzi. Wystąpienie nie to uzmysławia nam wielką skalę historyczną trudnych decyzji, jakie musimy podejmować, aby patrzeć śmiało w przyszłość.

I. Rut.

Gracjan KOZŁOWSKI

# »Ktoś piszący z Warszawy«

(Rzecz o Franciszku Salezym Jezierskim)

„W każdym wieku i w każdym narodzie były głowy, główki, półgłówki. W każdym wieku ludzie skarżyli się na niedostatek zdrowia, majątku, nadgrody swoim zasługom, nigdy zaś nie dalo się słyszeć, aby kto utyskiwał na to, że głupi; a zatył lotwo poznawać można, że ponieważ w każdym wieku każdy kontent z swego rozumu, więc każdy wiek w szczególności był wielkim oświeconym. Lecz trzeba przystąpić z uwagą do poznawania, co mimo chępliwość miłości własnej powinno nadawać nazwisko OŚWIECENIA WIEKÓW. Prawda powinna być dziedzictwem rozumu. Dochodzenie prawdy powinno być zamiarem uszczęśliwienia ludzkiego...“

W latach 1788-91, a więc w dobie Sejmu Czteroletniego, działał w stoicy publicysta, który swą zasadniczo anonimową twórczością poruszał umysły nie tylko bardziej postępowych członków izby poselskiej, lecz także szerokich rzesz szlachty i mieszczan. Ale opinia poznawała mistrza po ciętym, częstokroć nawet złośliwym stylu. Wiedzano, że to pisze ksiądz kanonik Franciszek Salezy Jezierski, ongiś wizytator szkół Komisji Edukacji Narodowej, aktualnie najbliższy współpracownik ks. Hugona Kołłątaja czyli — jak wówczas mówiono — „Wulkan gromów Kuźnicy“. Trudno jednak mówić o twórczości Jezierskiego, nie napomknawszy kilku słów o Kuźnicy Kołłątajowskiej...

\*

W okresie Sejmu Wielkiego działały dwie zasadnicze siły polityczne. Pierwsza z nich — to obóz magnatów, gdzie walczyły o prym w osłabianiu wszelkich pozytywnych osiągnięć władzy państwowej grupy wojenników Branickich i Potockich. Drugą siłą polityczną reprezentowało postępowe wówczas Stronnictwo Patriotyczne, Partia Królewska, na czele której — rzecz prosta — stał Stanisław August, skłaniała się początkowo ku magnatom. Ci ostatni, popierani przez posłów Katarzyniny w Polsce, prowadzili zgubną, opartą na uległości wobec caratu, politykę. Na tomiast Stronnictwo Patriotyczne wysunęło szereg postulatów, które miały na celu — z jednej strony

wzmocnienie władzy królewskiej, z drugiej zaś — drogą reform uregulowanie sprawy domagającego się głosu w sejmie mieszczaństwa i buntującego się z powodu ucisku chłopstwa. Ale Patriotci nie byli ugrupowaniem jednolitym, skonsolidowanym. Opowiadając się jednomyślnie za zniesieniem *liberum veto* i wolnej elekcji, wykazywali wiele rozbieżności w sprawie mieszczan i chłopów. Tak tedy część Patriotów, bardziej radykalna i nieustrasiona, tworząc jakby lewe skrzydło Stronnictwa, uzbierała się w oręż słowa pisanego wykuwany w Warszawie na Solcu, u ks. Kołłątaja w jego „Pasztecie“ (był to kompleks paru domów). Tam to była właśnie owa, złośliwie przez wrogów nazwana „Kuźnica“, grupująca nie tylko znakomitych pisarzy, publicystów i historyków, ale cały sztab pracowników pomocniczych jak kopiaści, archiwiści czy też zbieracze materiałów. „Kuźnica“ wiedziała nie tylko, co się dzieje w Sejmie, interesowała ją również *vox populi*, głos plebsu warszawskiego. Na bramie „Pasztecetu“ wisiała skrzynka, do której każdy mógł wrzucić swą prośbę, skargę czy projekt, nie narażając się na przykre konsekwencje. To było na polskim gruncie niewątpliwie *novum*. A sam Hugo Kołłątaj? „Wybitne zdolności, ruchliwość umysłu i żywy temperament — pisze o nim Bolesław Leśnodorski — predestynowały byłego rektora szkół krakowskich do odegrania poważnej roli politycznej“. Jest rzeczą ciekawą, że rolę tę odegrał, nie będąc poselem. Stanisław Małachowski, ówczesny marszałek Sejmu, przyjaciel Kołłątaja, pozostawał pod wielkim wpływem twórcy „Kuźnicy“. Nie jest to o rzecz przypadkiem, że właśnie Małachowskiemu poświęcił Hugo Kołłątaj swe „Listy Anonima“, które stały się kamieniem węgielnym publicystycznej działalności poszczególnych pisarzy „Kuźnicy“.

„Listy Anonima“ propagowały — jak pisał ich autor — hasło „łagodnej rewolucji“, która by podniosła siłę, znaczenie i dobrobyt Rzeczypospolitej. W tym celu Kołłątaj zalecał powiększenie liczby wojska do 60.000; usprawnienie polityki zagranicznej (m. in. poprzez utrzymywanie sieci dyplomatycznej); rozwój rolnictwa i handlu; rozwój edukacji narodowej;

wprowadzenie zasady trwałości sejm; zniesienie poddaństwa chłopów; dopuszczenie mieszczan do sejm.

W części „Listów“, noszącej nazwę „Prawa polityczne narodu polskiego“, a zawierającej projekt całości reform ustrojowych, Kołłątaj zwraca się do obradujących posłów z taką oto, znamioną inwokacją:

„Nie oglądajcie się na współczesnych! Nie ten to zepsuty wiek ma błogosławić imiona Wasze, Wy macie przywrócić sprawiedliwość, Wy to powszechnie chaos urządzić, a zatem Wy winniście zupełnie przygotować się przeciw potwarzom, nienawiści i zemście, które interes prywatny, zepsucie serc ludzkich, znarowiona zuchwałość przeciw Wam wywierają zechce.“

Tę inwokację wzięli sobie również do serca najbliżsi współpracownicy Kołłątaja: ks. Franciszek Ksawery Dmochowski, tłumacz Homera i „Sztuki rymotwórczej“ Boileau; Antoni Trębicki — poseł na sejm, autor dwutomowej pracy: „Prawo polityczne i cywilne“; Rafał Kołłątaj, brat Hugona; ksiądz: Józef Meier, redaktor czasopisma „Dziennik Handlowy“ i ks. Florian Jelski, kznodzieja. Byli tu także Tomasz Maruszewski, który zasłużył się w przygotowaniach do insurekcji oraz Jan Dembowski, późniejszy oficer Legionów i adiutant Dąbrowskiego. Trzeba również wspomnieć nazwisko Mirosława Mirosławskiego, Grossmaniego, Szczyrowskiego i Konopki. W bliskim kontakcie z „Kuźnicą“ znajdowały się także takie ówczesne stawy jak Franciszek Zabłocki, Jan Śniadecki i Julian Ursyn Niemcewicz. Ale bez sprzecznie, wśród najbliższych współpracowników i przyjaciół Kołłątaja, prym wiodł w zwalczaniu „interesu prywatnego, zepsucia serc ludzkich, znarowionej zuchwałości“ nie kto inny jeno ów „Diogenes w kontuszu“ — jak go nazwał Berent, „Wulkan gromów Kuźnicy“ — jak nazywany był przez współczesnych — ks. kanonik Franciszek Salezy Jezierski.

\*

RÓD Jezierskich wywodził się z drobnej, zubożałej szlachty z okolic Łukowa. Ojciec pisarza, Jan Franciszek — jak powiada biograf — „wybił się ponad tłum „szaraków“, dorobiwszy się niezgorszej for-

tuny“. Piastował urząd pisarza ziemskiego łukowskiego, był właścicielem kilku działek ziemi i panem trzymanej na prawie lennym wsi Woronkowie. Poza tym wyróżniał się wśród rzeszy ciemnej na ogół szlachty chodzącej jako człowiek światły i czytany. Przeczytawszy Konarskiego „O skutecznym rad sposobie“ machnął (w formie listu) coś w rodzaju recenzji. Uwagi Jezierskiego-ojca o dziele Konarskiego zawędrowały do literatury, umieszczone w dodatkach do trzeciego tomu „O skutecznym rad sposobie“.

Tymczasem Jezierski syn, urodzony w r. 1740, ukończywszy, zreformowaną przez Konarskiego, szkołę pijarów w Łukowie, zajął urząd rejenta ziemskiego. Powodziło się mu dobrze, a zresztą i sam biedakiem nie był, bo mu od rodziny dostały się w spadku cztery wsie. Znudziwszy sobie urząd rejenta, zaciągnął się do husarskiej chorągwi, utrzymywanej przez księcia Sanguszkę. Służba w książęcych barwach związana była z posiadaniem Woronkowie. Młody Jezierski bawił się na magnackim dworze, brał udział w wyprawie przeciw buntującym się chłopom na Ukrainie. Koniec końców, jakbyśmy to dziś powiedzieli — „styl życia“ księcia pana i jego warcholskiego otoczenia stały się Jezierskiemu nieznośne. Ale prócz niesmaku, jakiego doznał w konkluzji tego hulaszczko-husarskiego nicnierobienia, pozostała mu jeszcze pewna suna sprzeczność, które w przyszłości miał tak celnie spożytkować. Kariera wojskowa walnie przyczyniła się do roztrwonienia Woronkowie. Jezierski decyduje się na studia w seminarium duchownym. Po krótkiej działalności duszpasterskiej udał się w podróż do Włoch, po powrocie zaś stanął z dużym zainteresowaniem i ogromną dla siebie korzyścią pracował jako jeden z pomocników Adama Naruszewicza, który podówczas pisał „Historię narodu polskiego“. Następnie, po krótkim pobycie w Kaliszu, mianowany został wizytatorem szkół Komisji Edukacji Narodowej. Awansowany na wizytatora generalnego Ksiądz Kanonik odwiedza szkoły niemal w całej Polsce, wnikliwie badając poziom nauczania, jak też, dostrzegając wszelkie niedociągnięcia w zakresie szkolnictwa. „W czasie swej pracy

wizytatorskiej — czytamy w biografii — zdobył Jezierski stopień doktora teologii i doktora filozofii“. Jakiś czas jeszcze zastępował Jezierski Przybylskiego w bibliotece (mowa o bibliotece Akademii Krakowskiej — przyp. mój). Niebawem został koadiutorem kanonii krakowskiej. Delegowany przez kapitułę krakowską, pełnił nadto przez rok funkcję deputata w trybunale lubelskim.

Gdy 6 października 1788 r. został otwarty pamiętny sejm, Jezierski wystąpił wobec senatorów i posłów z kazaniem. Jest to zarazem początek jego działalności publicystycznej...

Początek kariery publicystycznej zbiegł się też z końcem kariery wizytatorskiej. Oto w jednym z ostatnich swych raportów służbowych Jezierski w sposób zresztą nader oględny i ostrożny wystąpił przeciw szlacheckiej dumie rodowej pisząc:

„...ludzie urodzeni w stanie szlacheckim nie powinni nigdy pogardzać żadną inną klasą obywateli, a mając zaszczyt z swego własnego urodzenia, obowiązani są tym bardziej starać się o przymioty osobiste, które dopiero potrafią ich uczynić godnymi następcami cnoty swych poprzedników... Wszakże takowy dyskurs był dobrze przyjęty, prócz województwa łęczyckiego, gdzie ponótowawszy te zdania zasłużyłem na niechęć obywateli.“

I tak być może ten oportunistyczny w swej pysze szlachty, ostentacyjnie sprawił, że odtąd Jezierski, jako „Wulkan gromów Kuźnicy“ grozić będzie wszystkim, co reakcyjne i zacofane.

\*

JESLI za początek twórczości Jezierskiego przyjmiemy „Kazanie przed stanami Rzeczypospolitej“, ogłoszone w październiku 1788 roku — a pisarz zmarł w lutym roku 1971 — to otrzymamy krótki dwu i półletni okres, w którym powstało około dwunastu prac, nieraz dużych rozmiarów. Prawdą jest, że autorstwo niektórych z nich historycy przypisują częściowo Kołłątajowi, częściowo Śniadeckiemu, albo innym, bliżej nieustalonym członkom zespołu Kuźnicy. Wynikało to ze ścisłej (Dokończenie na str. 11)

## O entuzjazmie i oporach

(Ciąg dalszy ze str. 8)

bohaterstwa pracy. Problem postawiony przez socjalizm współczesnemu człowiekowi. Czy słusznie? Czy zadanie to jest ponad siły przeciętnego człowieka?

Pan X.Y. jest, mam nadzieję, dobrym Polakiem. Gdy walczyliśmy z najazdem hitlerowskim, i on walczył również. Narażał swe życie. Mógł zginąć. Nie bał się poświęcenia życia. Wszystkie wyrzeczenia lat walki wydawały mu się jak najbardziej zrozumiałe. A wyrzeczenia byłyby potwornie bolesne, nieprawdą? Rozumiał bohaterstwo walki, bo był w tych kategoriach wychowany. Wiedział, że szanował by się, gdyby postępował inaczej. Czy przyszło mu do głowy, że wymaga się od niego czynów nadludzkich? Ileż jednak takich czynów nadludzkich dokonano w tych tragicznych latach. I ileż z pośród najprawdziwszych bohaterów zdziwiliby się i zagniewało, gdyby ktoś nazwał czynem nadludzkim to, co było dla nich spełnianiem najoczywistszego obowiązku wobec ojczyzny.

Czy zadanie budowania wielkości i dobrobytu ojczyzny jest w czym

kolwiek mniej ważne od zadania jej ochrony? Powiedziałbym, że w hierarchii wartości należy postawić je na pierwszym miejscu. Tą drogą bowiem skuteczniej bronimy Polski przed wrogami niż ofiarą własnego życia na placu boju. Wiemy ponadto, ile każda wojna kosztuje. Bohaterstwo pracy jest więc, moim zdaniem, bardziej zaszczytne od bohaterstwa walki (wbrew naszym romantycznym tradycjom). Bez wątpienia też naród ma prawo i na tym odcinku wymagać od swych obywateli wykazania się pełną dojrzałością postawą.

„Masz swoje życie, swoją wygodę poświęcić, aby twoim dzieciom było dobrze!“

Tak, to prawda. I nie rozumiem sensu zawartego w liście p. X.Y. protestu. Każdy, kto przemyślał konsekwencje dwudziestolecia zmarłego i lat wojny winien właśnie tak rozumować. Każdy inny jest „głupcem i ślepcem“. Udowodnia iż w rzeczywistości nie kocha swego kraju, nie jest dobrym Polakiem nie

jest po prostu dobrym ojcem swych dzieci.

Ale teraz drugi problem — czy w istocie zadanie, postawione nam dziś jest rzeczywiście ponad siły, przytłaczające, nadludzkie?

### NA ODLEGŁOŚĆ WŁASNYCH POTRZEB

Oczywiście, mógłby ktoś powiedzieć, że zadania, które stały przed całym narodem polskim po 1944 przekraczały jego siły i środki. Śmierć, zniszczenia, dezorganizacja, załamanie psychiczne u wielu... Ale znaczyło by to po prostu tyle, co powiedzieć, że sytuacja Polski była w tym czasie beznadziejna. Czy kto tak uważał? Oczywiście nikt. Każdy z zapałem zabrał się wówczas do pracy.

Skąd więc dziś bierze się u pana X.Y. ten ton defetystyczny? Odpowiedź daliśmy częściowo powyżej. Nasze tradycje powodują, że nie docenialiśmy pracy, a przecenialiśmy walkę. Jedni nie pracowali, bo nie chcieli, inni, bo nie mogli, inni znowóż pracowali źle, nieumiejętnie, niewydajnie, bez serca. Tym wszystkim dzisiejsze tempo pracy może wydawać się nieprawdopodobne, „nadeludzkie“.

W rzeczywistości jest to normalne tempo pracy narodu, który buduje swoją przyszłość. Historia zna już wiele przykładów takiej pracy, a nam ponadto jeszcze przyświeca myśl, że nie pracujemy sami, odosobnieni, wśród narodów nieżyczliwych i zawistnych, lecz wspólnie, solidarnie budujemy nowy ustrój społeczny przyszłości.

Pan X.Y. skarży się przy tej okazji na biurokrację i na marnowanie tej drogą energii na bezprodukcyjną pracę. Tu oczywiście ma rację. Biurokracja jest jednym z największych wrogów naszego narodowego wysiłku, to jakby piasek w trybach naszego gospodarczego organizmu. Walka z przejawami tępego, bezdusznego podejścia do dokonywanego dziś dzieła, jest jednym z pierwszych obowiązków każdego z nas.

Główne jednak zastrzeżenie naszego polemisty mieści się w tym zwrocie: „Tu nie wystarczą wielkie osiągnięcia, rozbudowa przemysłu, itd. Nie można żądać od każdego by był na miarę bohatera i by patrzył dalej i szerzej niż na odległość własnych potrzeb“.

Czy mam udowodnić, że postawa ta jest z gruntu niechrześcijańska, że zawarta jest w niej kwintesencja filozoficzna światopoglądu kapitalis-

ycznego, najwyższej formy egoizmu? Chyba nie trzeba też przypominać jaki nonsens kryje się w tej tezie, która się sprowadza do tego, że o własnych potrzebach może myśleć realnie tylko garstka uprzywilejowanych, podczas gdy o grom ludności myśli o tym, jak swoje potrzeby ograniczać!

Ale to tylko jedna strona medalu. Jest i druga — dlaczego pan X.Y. nie widzi jak jego własne potrzeby realizują się w chwili obecnej.

### A TAKA JEST RZECZYWISTOŚĆ

Cóż oznaczają, na miłość Boską, takie cyfry: w stosunku do lat przedwojennych spadek umieralności wynosi dziś w Polsce 23,2%, czyli, że umierało wówczas o jedną czwartą więcej niż dziś, — przyrost naturalny, przy ogólnej tendencji do obniżania się wynosił w roku 1938—10,7 na tysiąc mieszkańców, podczas gdy obecnie wynosi 21,5 na tysiąc (100%) i w ciągu ośmiu niełatwych lat powojennych ludność Polski powiększyła się o trzy miliony ludzi, — co oznacza fakt, że ilość umierających na gruźlicę zmniejszyła się w Polsce z 18 wypadków na 10.000 mieszkańców —

Daniel REYLANDT

# PROBLEMY AFRYKI POŁUDNIOWEJ

**A**UTOR artykułu, który podajemy niżej w skrótach, jest Belgiem, współpracownikiem katolickiego miesięcznika „Revue Generale Belge”. Odwiedzając ostatnio Afrykę Południową przedstawia on zasadniczo w swoim artykule dzisiejszą sytuację ludności w tym kraju. Reylandt nie jest przeciwnikiem kolonializmu, lecz jedynie wręcz skrajnie jakie dostrzega w Afryce Płd. Tamte „złe” polityce kolonialne usiłuje przeciwstawić „dobrą” politykę belgijską w Kongo. Być może, że stosunki w Kongo są lepsze niż stosunki w Afryce Płd. Czy jednak są dobre? Czy można dziś w ogóle mówić o „dobrej” polityce kolonialnej? Na te pytania dał mocną odpowiedź wstrząsający artykuł Simone Weil „Na marginesie sprawy kolonialnej”. Na te pytania daje z każdym dniem coraz wyraźniej odpowiedź sama rzeczywistość spoteczna ukazując bez obstrukcji brutalny wysiłek kryjący się za wszystkimi rodzajami polityki kolonialnej. Artykuł Reylandta jest jednak cenny przez swą wymowę faktów, które oskarżają kolonializm u samych podstaw.

**C**ALA seria dramatów rozgrywa się w tej chwili w Afryce Płd. Lecz to, co się o nich dowiadujemy, nie tłumaczy nam wcale sytuacji tego kraju. Niejednokrotnie znajdujemy w prasie opisy zajęć jakie miały miejsce w Unii. Zapamiętujemy z nich tylko tyle, że zaszły one w Johannesburgu albo w Kap. Czytelnicy przypuszczają, że chodzi tu o walkę między białymi a czarnymi. Ale tak nie jest. Walki toczą się pomiędzy białymi a białymi, lub też między czarnymi a czarnymi względnie Hindusami. Niewątpliwie istotnie dramatyczne napięcie między białymi i czarnymi, nie znajduje ono jednak ujścia na placach publicznych. Dramat jest głębszy i poważniejszy. I to nie jeden.

Przypomnijmy sobie że dominium Afryki Płd., stworzone w 1910 r. składa się z 4 prowincji: Kap, Natal, Orange i Transvaal; te dwie ostatnie są republikami stworzonymi przez Boerów i podbitymi przez Anglików w 1902 r. Cała ludność Unii wynosi: 12,4 miliona mieszkańców: 8,6 czarnych, 1,0 metysów, 0,3 hindusów i 2,5 białych.

Biali są zawsze nazywani Europejczykami, choćby nawet przybyli z Ameryki czy Australii. Dzielią się na dwie grupy lingwistyczne: jedna mówiąca językiem angielskim i pochodzenia angielskiego, druga pochodzenia holenderskiego, lecz o dominującym elemencie holenderskim, mówiąca językiem pokrewnym holenderskiemu który jednak zowie się „afrikaans”. Ci którzy nim mówią nazywają się Boerami. „Afrikaans” jest dziś językiem większości ludności i zdobywa sobie zwolna stanowisko języka oficjalnego; tym niemniej prasa w „afrikaans” posiada dzienny nakład 115 tys. egzemplarzy, zaś prasa w języku angielskim 558 tys.

Słowo angielskie „natives” oznacza czarnych wszelkich ras; w języku „afrikaans” nazywa się ich słowem „de naturellen”. Hindusi zowią się Azjatami, nawet jeśli są urodzeni w

Afryce. Metysów oznacza się słowem „kolorowi”.

Pierwsze istniejące przeciwieństwo zachodzi między Anglikami i Boerami. Element angielski panuje w miastach, w prasie, w życiu światowym, w stosunkach zewnętrznych. W oczach Boerów Anglikowie są uzurpatorami, którzy przybyli na Kap w półtora wieku po nich, uzurpatorami pełnymi arogancji i pogardy dla tradycji holenderskich. Patrzy się na nich jak na niesytych łupieżców, którzy dowiedziawszy się, że dwie małe republiki posiadają złoto, narzucili im okrutną wojnę i podbili je.

Największym dramatem Unii jest sytuacja wytworzona przez politykę „apartheid”.

My tu w Europie nie rozumiemy znaczenia tego słowa. Mieszka się je często z „colour bar” (bariera rasowa). Jest to niesłuszne. „Colour bar” jest zakazem dla czarnych przebywania w miejscach publicznych (cukiernie, kina, sklepy) razem z białymi, korzystania z tych samych autobusów, zamieszkiwania tych samych dzielnic itp.

„Apartheid” (dosłownie: segregacja) jest czymś innym. Oficjalna broszura określa go: „rozdział terytorialny, polityczny i w miarę możliwości przemysłowy pomiędzy Europejczykami i nie Europejczykami”.

E. G. Jansen, obecnie gubernator generalny mówił w parlamencie w 1950 r. że: „polityka „apartheid” nie dąży do uciemnienia krajowców. Ma ona na celu równoległy, ale nie wspólny, rozwój dobrobytu białych i nie białych. Na terenach zarezerwowanych dla białych ich interesy winny być przede wszystkim strzeżone. Na terenach zarezerwowanych dla krajowców interesy tych ostatnich mają pierwszeństwo. Wspólne zamieszkiwanie białych i nie — białych prowadzić może tylko do konfliktów i trudności. Jeżeli obie grupy rozwijają się oddzielnie unika się nieporozumień, zaś

krajowcy mogą się rozwijać tak jak chcą i jak tego pragną”.

Tekst ten wyjaśnia zasadę tej polityki. Południowo-afrykańczyk idzie za przykładem Amerykanów, którzy zniszczyli ludność tubyleczą, zaś jej resztki zamknęli w rezerwach, odbierając jej możliwość jakiegokolwiek rozwoju.

Ten system rezerwatów jest tylko pokrywką, która pozwala wyzyskiwać nieszczęśliwych czarnych. Zmuszając ich do życia na najniższym poziomie kultury, zapewnia się białemu przemysłowcowi taniego robotnika, którego można się w każdej chwili bez kłopotu pozbyć. Nie twierdzą, że chodzi tu zawsze o złe traktowanie. Lecz zasada jest okropna. Trudno nie zestawić narodowych parków Unii, założonych dla dzikich zwierząt, z rezerwatami dla czarnych. Jedne i drugie mają na celu zachowanie natury pierwotnej nie poddawanej żadnym przekształceniom. Lecz czy to, co wystarcza dla zwierząt, może wystarczyć dla człowieka?

Rząd Unii wydał przed dwoma laty broszurę informującą o problemach rasowych w Afryce Płd. Jej autor G. D. Scholtz słusznie twierdzi, że historia wyjaśni nam najlepiej etapy powstawania tych sprzeczności.

Scholtz i inni autoryzowani apologety „apartheidu” twierdzą, że Boerowie nie żywią nienawiści do czarnych. Lecz cała ta polityka opiera się na idei, że czarni należą do rasy innej, niższej i zawsze należą do niej będą.

W tej samej broszurze Scholtz przedstawia dramat „poor whites”, czyli białych niewykwalifikowanych robotników, którzy nie mogą wytrzymać konkurencji z czarnymi robotnikami, ponieważ można im płacić mniej, gdyż mają mniejsze potrzeby. „Użyte do pracy robotników czarnych tworzy jeden z aspektów najbardziej ciemnych w Afryce Płd.” Krajowcy „Winni być zachęceni aby pracowali wśród braci swojej rasy”. W rzeczywistości jednak nie robi się nic, aby udzielić czarnym wiedzy technicznej i starannie unika się zatrudnienia tych, którzy są mechanikami, malarzami, murarzami itp. Zresztą trzeba dodać, że nie dba się również o wykształcenie zawodowe białych, co poważnie zaostrza sytuację. Rząd zmuszony jest do utrzymywania całej masy białych, skazanych na żalony los przez swój brak kwalifikacji. Do czego może doprowadzić w końcu taka polityka?

Wielkie miasta, ośrodki przemysłu, są traktowane jako prowizoryczne obozowiska, zaś krajowiec, który tu poszukuje pracy, nie otrzymuje ze strony białych żadnej opieki. Gdy te obozowiska osiągną rozmiary przedmieść Johannesburga, powstają tragiczne problemy, z jakimi możemy się



„Szczęśliwe dzieciństwo” małego Murzyna za drutami „rezerwatu” w Afryce Południowej.

zapoznać czytając książkę „Plac mój ukochany kraju” Alana Patona.

Pewna studentka z uniwersytetu w Capetown opowiadała mi, że podczas swych studiów literatury miała kilka czarnych koleżanek, z którymi żyła w największej przyjaźni. Kiedy nie rozumielśmy pewnych rzeczy — mówiła mi — prosiłiśmy o wyjaśnienie naszych czarnych kolegów; oni zawsze wszystko rozumieli. Ale od roku nie wolno już przyjmować na studia czarnych, tym zaś, którzy już na nich są, nie wolno uczęszczać do restauracji studenckich i uczestniczyć w świętach studenckich, pod pretekstem, że są istotami niższymi. „Otoż, twierdziła moja rozmówczyni, zawsze byłam zdania, że ci moi czarni koledzy, z którymi studiowałam, byli cde mnie wyżsi umysłowo”. Spytałam się co się z nimi stało. „Nie wiem — odpowiedziała. — Ja na ich miejscu zostałabym komunistką”.

Ten stan napięcia nie może trwać bez końca. Kryzys musi nastąpić w krótkim czasie. Nie jesteśmy upoważnieni do udzielania rad narodowi południowo-afrykańskiemu, lecz musimy stwierdzić jego obecna postawa wobec problemów rasowych nie jest ani polityczna, ani chrześcijańska.

Pastor Marc Boegner, przewodniczący federacji protestanckiej w

Francji, odwiedzając Unię Południowo-Afrykańską, udzielił prasie następującego oświadczenia: „Kościoły chrześcijańskie nie są męże w zgodzie w ocenie istniejącej sytuacji. Spotykam chrześcijan, którzy twierdzą, że „apartheid” jest jedynym rozwiązaniem chrześcijańskim, odpowiadającym interesom intelektualnym, społecznym i duchowym czarnych. Inni jednak, o wiele bardziej liczni, oburzają się na tę politykę. Wydaje mi się, że w kołach związanych z wyznaniem chrześcijańskim, a nawet z kościołem reformowanym holenderskim, przygotowuje się reakcja, której skutki trudno nawet przewidzieć”.

Wszyscy chrześcijanie żyjący wiarą podpiszą się pod tym ostatnim stwierdzeniem pastora Boegnera. Miłość chrześcijańska nie może mieć nic wspólnego z zasadami „apartheidu”, podobnie jak wiara w jedność wszystkich ludzi, będących dziećmi jednego Boga. Pastor Boegner zapytał przy mnie w Kap pewnego dostojnika Unii, znanego ze swych uczuć religijnych: „Pan chciałby pójść do nieba? Nieprawdaż? Ale czy pan zdaje sobie sprawę, że tam będzie pan razem z czarnymi?”.

I w tym zawiera się cały problem.

Daniel Reylandt

Tłum. M.D. Dobraczyńska

do 10 wypadków na 10.000 mieszkańców z tym, że na terenach najbardziej zagrożonych, na górniczym Śląsku osiągnęliśmy dziś stan pięć wypadków śmiertelnych na dziesięć tysięcy mieszkańców.

Czyż to nie jest realizacja naszych własnych potrzeb?

**T**AKIMI cyframi możemy sypać i sypać. Możemy przeciwstawiać bezrobocie i ogromny wzrost zatrudnienia, możemy pokazać imponującą kubaturę budynków mieszkalnych, przemysłowych i zastój przedwojenny, możemy pokazywać zamknięte przed wojną kopalnie i dziś nowo-wybudowane jak Wesoła II i Ziemowit II, możemy porównywać cyfry produkcji na głowę mieszkańca — ale cóż, najwidoczniej ten argument nie wystarcza, bo przecież nie ja pierwszy te cyfry odkryłem i ukazałem.

Rzecz w tym, iż istnieje żelazna konieczność w gospodarce narodowej. Póki nasz przemysł podstawowy, przemysł ciężki nie zostanie w pełni rozbudowany, póki nie rozwiniemy dostatecznie bazy naszych najcenniejszych surowców, póty będziemy musieli znosić pewne ograniczenia w konsumpcji, w zakresie wygód osobistego życia.

Myśląc pojęciami czasów kapitalistycznych można by powiedzieć — gdyby pan X.Y. chciał postawić tylko jedną kamienicę na MDM w Warszawie, musiałby przez lata pracować ciężko (na uprzywilejowanych warunkach!) i wyrzekać się wszystkiego, by zaoszczędzić potrzebny kapitał. Gdyby chciał stać się właścicielem Wesołej II — nawet największe wyrzeczenia materialne całego życia by mu na to zapewnić nie pozwoliły. Dziś zaś, kosztem o wiele mniejszych ofiar, przy pełnej pracowitości wszystkich — osiągamy znacznie więcej. Ale trzeba sobie ten proces uświadomić i potrafić cieszyć się każdym osiągnięciem ogólnonarodowym tak, jak gdyby to było to „nasze”, „własne”, „osobiste”, „prywatne”.

Ten stosunek do osiągnięć ogólnonarodowych, w których uczestniczymy pośrednio, czasem nieświadomie — to po prostu zdawanie egzaminu z prawdziwego patriotyzmu.

Dopiero na tym tle dziejące się przeobrażenia gospodarcze, bieżące pociągnięcia ekonomiczne, jak regulacja cen ze stycznia nabierają swej pełnej wymowy. Gdy nasz organizm gospodarczy jest w pełnym rozwoju,

gdy musi pokonywać opory wynikające z obiektywnych trudności i z postawy tej części społeczeństwa, która woli osobiste korzyści ze spekulacji, nad osiągnięcia ogólnonarodowe — takie cięża są koniecznością dla powszechnego dobra. Musimy o tym pamiętać niezależnie od tego, czy w danym momencie odnosimy z tego natychmiastowe korzyści, czy też dopiero czekamy na dobroczynne skutki dokonanej reformy.

## „PRO DOMO SUA”

**J**EST w liście pana X.Y. jeden, końcowy fragment, który mnie osobiście wzruszył swą bezpośredniością. Oto on w całości:

„A teraz na zakończenie parę słów „pro domo sua”. Sądzę, że Pan Redaktor poznał na tyle moje poglądy, że nie bierze tych wynurzeń za jakąś przekorę, wsteczność. Wiem, że dziś, w okresie budownictwa silnej Ojczyzny, postawa negatywna jest niedopuszczalna. Z drugiej jednak strony, choć wystąpienia waszych publicystów porywają mnie, niekiedy zapalają nawet, to jednak różne opory wewnętrzne

i wątpliwości z taką siłą narastają, że nie mogę wykrzesać w sobie ani entuzjazmu, ani aktywności. I to jest dla mnie nierozwiązalną zagadką, jak możecie wy Panowie, mimo różnic, które was przecięż dzieli od światopoglądu partii, która ten program budowy realizuje — jak wy możecie nie tylko aktywnie, ale i z entuzjazmem pracować?”

Oczywiście istnieją różnice światopoglądowe i hieraz je wyrażamy. Poza tym zakresem istnieje cały świat spraw praktycznych, które podlegają krytyce, gdzie popełniane są błędy, wykrywane, dyskutowane, odrabiane. Ale poza tym wszystkim istnieje dzieło. Obiektywne dzieło, dokonane w Polsce, mające na celu wyzwolenie klas sponiewieranych przez ustrój kapitalistyczny, i zapewnienie w konsekwencji całemu społeczeństwu, na nowym porządku społecznym opartemu, warunków pełnego rozwoju.

Czy można pracować bez entuzjazmu gdy się o nim pomyśli. Czy wolno pograżać się w bierność na samą myśl o trudnościach, jakie trzeba przezwyciężyć? To, co nam

pisze pan X.Y. to wyraz postawy samotnika, który musi się załamać pod naporem tego wszystkiego, czego nie rozumie, nie przemyśli, póki będzie sam, zamknięty w ciasnym kręgu egoistycznych myśli o „własnych potrzebach”. W tych warunkach ani swego światopoglądu nie zrealizuje, ani nie przyczyni się w ulamku procentu do poprawy sytuacji całego narodu, więc i własnej.

Trudności światopoglądowe, o których w wspomina, — jesteśmy ich najbardziej świadomi, ale wiemy, że nie na drodze jałowych, czysto teoretycznych dyskusji dojdziemy do ich rozwiązania. Dopiero wówczas, gdy ludzie o różnych postawach światopoglądowych spotykają się przy jednym dziele, takim jak walka o zdrowie, o opiekę nad dzieckiem, jak walka z analfabetyzmem, pogłębienie kultury, czy też takim jak budowa mieszkań dla ludzi pracy, czy budowa Nowej Huty, czy budowa nowej elektrowni wodnej — dopiero wówczas spory światopoglądów przejdą w fazę naprawę konstruktywną.

To przeświadczenie właśnie leży u podstaw naszego entuzjazmu.

Wojciech Kętrzyński

— Chasseles Doré, wie ksiądz, jest najlepsza. Nie mam przekonania do odmian mieszanych, jak na przykład Seible. Sa diablo kwaśne i posiadają jakiś liśi smak, którego nie znoszę. Hah, ale dusi.

— Tak.

— ...liśi smak, coś cierpkiego, nischt. — O widzi ksiądz, jak to roś nie — jutro będziemy wylamywać zbędne pędy.

— Jutro będę już w drodze.

— Hah, w tym Hildesheimie, powiadacie... Jest tam też prałat Wilmann Starość się go nie czepia i ja — no cóż, zadyszcie się dziś — kończę siódmy krzyżyk, ale on... machnął ręką. — Ale co wy tam czcigodny konfratrze będziecie robić w Hildesheim?

Wyglądało tak, jakby ksiądz Ziss dopiero teraz uświadomił sobie, że gość, z którym od kilku chwil rozmawiał, jest to proboszcz z Lisków. Ksiądz Ziss nie żył z nim w najbliższej przysiażni, po prostu dlatego, że ksiądz Brandt siedział w Liskach do pięro od czasów wojny. Poprzedni proboszcz osiadł w klasztorze jako duszpasterz zakonnic. Teraz do Lisk przyjechał tu ksiądz Raczek, repatriant zza Bugi.

— W Hildesheim?

— No, tak.

Stali naprzeciw siebie. Ksiądz Ziss mimo narzekania na starość, na dokuczliwą zadyszke, sprawiał wrażenie młodszej, jeszcze kolumny, tak był rosy i prosty.

— Co ja będę robił, tam, w Niemczech? Ksiądz nie chce wiedzieć, kanoniku. Bo gdyby ksiądz chciał wie dzieć...

— Wiem, będziecie mówić o liście prałata; ale on zawsze przesadza.

— Nie będę mówił o liście prałata, ale powiem, że właściwie nie tu po nas, skoro nasi niemieccy parafianie stąd wyjeżdżają.

— Ja tu zostanę.

— A ja przyjechałem się pożegnać.

— Tu mam placówkę, która samodzielnie prowadzi od wielu lat.

— Winnicie?

— Tak, parafie i wiernych.

— Nie gniewajcie się, księżo, ale wiernych miał, zdaje się, wasz wika ry śp. ks. Gruska, a wy... — do was należy parafia

— Co ksiądz chce przez to powiedzieć?

— Że nam, księżom, wypada być zawsze tam, gdzie nas trzeba. W Niemczech potrzeba niemieckich, w Polsce polskich.

— A, czy tutaj nad Odrą jest Polska?

— Ech, zostawmy... ja myślałem, że rozmawiamy, jak kapłani...

Ksiądz kanonik Ziss chciał coś po wiedzieć, opanował się jednak. Podszedł do księdza Brandta i wziął go pod ramię.

— Nam nie wypada do siebie tak przemawiać, prawda? Nie, nie, nie, Nischt. Zostaniecie u mnie na chwilę. Ksiądz proboszcz nie pogardził skromnym swojskim winem swojego dziecka.

\*

W tym samym czasie przybiegła do Bernarda Jaskuły Zymankowa i płacząc w róg granatowej, frędzlowanej chusty prosiła:

— Weźcie z tartaku konia i wóz i jedźcie po księdza. Michał już charczy i swoich nie poznaje. Język mu stwardł. Jak dycha — strach!

— Można się zdążyć do Lisków, do polskiego?

— Co wyście? Taki świat! Po tego jedźcie, wartko.

— Po tego?

Twarz Jaskuły ściągnęła się skurczem gniewu. Ten dziwak, od lat żyjący samotnie w dwuizbowym domu, widząc walcząc z sobą zanim, rzuciwszy robote, zdecydował się jechać po księdza Zissa. Wyrwany z ciszy i postawiony wobec konieczności uczynienia przysługi sąsiedzkiej, Jaskuła stawał równocześnie przed sprawą jak najbardziej osobistą. Niby za pomniana, stłumiona, zdawało się utopiona w głębokościach lat nienawisć do człowieka, który uczynił mu krzywdę, zawładnęła nim na nowo.

Przysięgłem, że się do śmierci u giza nie pokażę. Tamten wciąż góra, tamtemu wciąż kwitnie, a on Jaskuła?! Prerażliwie jasno ujrzał w tej chwili swoje zmarnowane życie. — Nie to uczony, nie robotnik, nie rolnik, nie ojciec rodziny, nie polityk, gnój, nic. „Budkorz z przejazdu“ — mówili ludzie przedtem. Teraz już nawet i tak nie mówia. Domek dróżnika kolejowego, do którego wrócił po opuszczeniu obozu hitlerowskiego, leżał na linii nieczynnej od czasu wojny; niedaleko stąd wysadzono most, akurat w miejscu, gdzie zginęła Margot... gdzie „jej się zginęło“... ech, do stu diabłów, gdzie ją Jaskuła rzucił, przeklął

Zhyszko BEDNORZ

# KSIĄDZ ZISS PROSI

smarkulę, zmiję z proboszczowskiego gniazda...

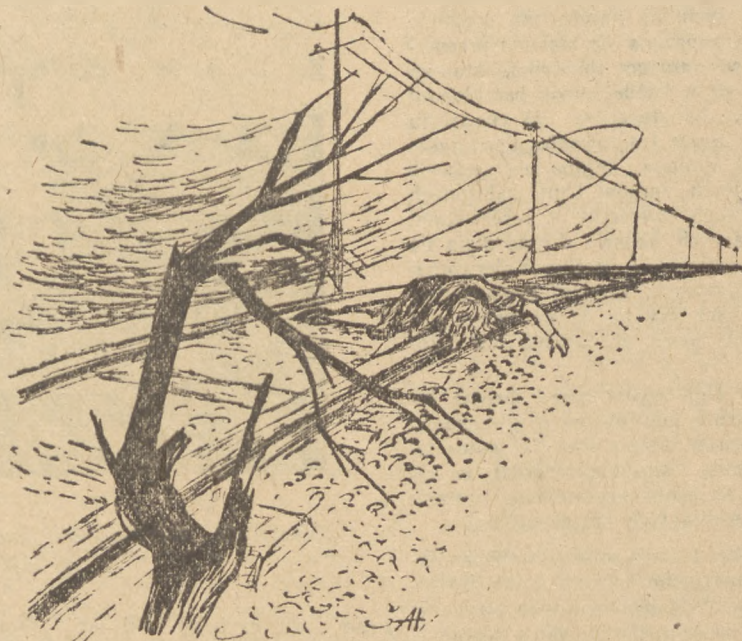
na polskim weselu. Idę już, odwiedzę pana jeszcze...

\*

BYŁO to kilka miesięcy przed rozpoczęciem hitlerowskiej wojny burskawicznej. Jężdżały do wsi kolumny pancerne. Na plebanii zamieszkała świeżo upieczona matu-rzystka, Jaskuła, który popychany przez życzliwych ludzi wyniesiony

Listy znalezione po Annie obudzily w dziewczynie zainteresowanie ich autorem. Teraz oceniła go jako niesympatycznego starego gbura.

Czterdzieści kilka lat temu przed Bernardem Jaskułą ustępowali w kościele, takie miał znaczenie. Za za-



został na stanowisko dróżnika przy przejeździe nr. 22, ani na chwilę nie myślał, że sprawa, będąca przyczyną jego życiowej klęski, niespodziewanie odżyje. Właśnie przez tę dziewczynę. Zjawiła się kiedyś u niego. Odbierał wtedy telefon o pociągu towarowym. Zapisał w książce...

— Tak, ja jestem — odrzekł z wolna, kiedy wymieniła jego nazwisko.

— Bo ja jestem, pan pewnie wie, córką zmarłej Anny Schmidt. Teraz po śmierci mamy będę mieszkać u wujka. Och, ksiądz Ziss nie jest moim wujkiem, tylko tak mówię, po prostu nie znam terminu na takie „coś“; brat dziadka ze strony mamy! — zaśmiała się.

— Kiedy zarla?

Opowiedziała krótko o nieudanej operacji żołądka, potem rzekła:

— Przyszedł zobaczyć pana. W papierach, które mama chowała w zamkniętej szufladzie, znalazłam kilka listów pisanych do niej przez pana, kiedy mama jeszcze nie była zamężna.

— Czego pani chce?

— Niczego, panie Jaskuła... — a może jednak czegoś. Myślałam, że pan się w mojej mamie... Zesłać się za młodu dobrze znali...

Dał się słyszeć gwizd pociągu Wy-szedł; leciał „towarowy“, załadowany armatami i wojskowymi samochodami ciężarowymi. Przyjął go w po-stawie trochę niedbalej ale przepi-sowej.

— Ach, mein Gott, jak się ciesze, kiedy oni jadą. Będą niedługo grać

\*

— Już dostają warlacji, że nie przyjeżdżasz. Mam ważne rzeczy Ci powiedzieć. Przecież te nasze dwa lata, nie mogą być zapomniane. Jężdżę dalej z redaktorem odpowiedzialnym po wiecach, ale ciągle mi w głowie to zdanie z ostatniego Twojego listu: „przeciwko jego woli nie wstępujemy, on jest dla ciebie kapłanem, a dla mnie w dodatku jeszcze tyle, co ojcem“. Anno, najmilsza moja, takie słowa jakimś nieszczęściem grożą. Ja czekam, abys potwierdziła, że jesteś gotowa iść ze mną przez życie, na złe i na dobre. Ja będę walczył o ciebie z niebem i z piekłem... Jak nie napiszesz do miesia-

Kazimiera HŁAKOWICZÓWNA

## W I E R S Z E

prowadzi, kiedy zechce.  
Modliłam się kiedyś o nią...  
Teraz — niech mnie Bóg od niej broni!

### WYROK

Wyrok napisali Mu prorocy  
zanim się urodził tej nocy;

Wyrok miała ryty w sercu nożem  
już od Zwiastowania Matka Boża  
i królowie z kadzidłem i mirrą  
tylko potwierdzili dawny wyrok;

wydawali go w serca posusze  
wielokrotnie faryzeusze.

Wyrok wydał przy kapłanach na radzie  
ten apostoł, który Go zdradził;

i Piotr wierny — chociaż bez winy —  
gdy Go nazwał głośno Bożym Synem;

i najświętsza cała Boża Trójca  
od żłobeczka aż do ogrójca;

### ŁASKA

Przechodzi niewołana,  
czeka na mnie od rana.  
Myślałam — dzieło skończyć...  
Ona mi szyki płacze:  
gdy chcę po swojemu mierzyć,  
za ramiona mnie hierze,  
ubraca jak twarzą ślepca,  
koło mnie blisko drepcę,

Jaskuła Bernard

Poruszonej w liście rozmowy nie możemy pozostawić w tej marginesowej relacji Jaskuły, którego ambicja i namietność doprowadziły do jakichś groźnych zaburzeń psychicznych.

Było tak. Młody człowiek nie czekał wówczas długo, bo widocznie ksiądz Ziss zreflektował się; niebawem nadszedł.

— Laudetur Jesus Christus — witał pana. Długo pan czeka?

— Nie, przeglądałem tymczasem książkę, którą znalazłem na stole.

— Aaa, księdza Stephana... Der heuthener Prozess im Lichte der Wahrheit? Niech mi pan wierzy, nie mam czasu doczytać do końca; kupiłem ją kilka tygodni temu w Hirschberg; dopiero trzeba było taki kawał drogi jechać, by kupić rzecz, która wyszła droższym tuż pod bokiem bo w Königshütte.

— Czy udała się księdzu wędrówka po Sudetach, ink to ksiądz planował swego czasu?

— A jakże, chodząc śladami Rubezabla...

Ksiądz starał się być uprzejmy i swobodny w stosunku do gościa, którego nie tak dawno jeszcze widywał dosyć często na plebanii. Jaskuła również zachowywał się jakby tu przyszedł na taką właśnie towarzyską pogawędkę. Zresztą był to okres, w którym mimo ostrych zadrażnień i wzajemnych oskarżeń, a nawet do-różnych akcji, pięcioletnich krwaw, podnosiły się głosy zarówno z kół duchowieństwa niemieckiego jak i z kół przywódców polskich, by w jakiś sposób uzgodnić współpracę. Mówiło się o konieczności wspólnej drogi, zwłaszcza w chwili zbliżających się wyborów do seimu pruskiego... Chcac dać wzraz temu nastawieniu wobec Jaskuły, ksiądz Ziss powiedział:

— Widzę, że pan już doszedł do siebie po tamtym... To wszystko szkodził jeno naszemu katolicyzmowi. Zle, że się takie wypadki zdarzają.

— Wllynych nie trudno znaleźć...

— To tak się panu zdaje. Weźmy tę księgę. Tu też się wpierv oskarżano księdza kardynała, że na konferencji dziekanów we Wrocławiu rzekomo miał mówić o potrzebie zaan-gażowania niemieckiego kleru śląskiego w polityczną akcję przedwy-borczą, a co się okazało?

— A jednak ksiądz kardynał skargę wycofał, gdy adwokat polskich re-daktorów sprowadził na rozprawę 71 świadków!

— Ale i zarzuty były odwołane pu-blicznie...

W tym momencie Jaskuła przypomniał sobie po co tu przyszedł:

— Proszę wybaczyć lecz wszystko to nie interesuje mnie w tej chwili więcej niż eksploatacja kości słoni-

# O PRZEBAČENIE

wej w Kamerunie. Ksiądz chyba się domyśla, że przychodzę w sprawie Anny...

Jakby na hasło walki obaj stanęli prawie równocześnie.

— Moja bratanica wyciechała stąd dobrowolnie. Nie mam nic w tej sprawie drogiemu panu do powiedzenia.

— A jednak staje ksiądz na przeszkodzie naszemu małżeństwu. Jakim prawem, dla jakich powodów?

— Panie Jaskuła, proszę zmienić ton. Nie spodziewałem się, że pan jest tak mało opanowany!

— Można być opanowanym, gdy się rozmawia o Sudetach i o ksiązkach.

— Radziłbym panu, by i bratanica moja stała się dla pana tematem równie obojętnym...

— Anna mnie kocha.

— Miłość winna być podporządkowana zdrowemu rozsądkowi.

— Działalność księdza winna być podporządkowana Bogu, a nie symptomom politycznym i narodowościowym.

— Gdy słyszę pana mówiącego w ten sposób nie mam wątpliwości, że to pan naskrobał o mnie w waszej gazecie tę notatkę „Ku czemu służy ambona”.

— Tak, ja.

— I jeszcze ma pan czelność przychodzić do mnie prosić o Annę?

— Nie prosić, tylko żądać wyjaśnień.

— Wy nie macie nic do żądania...

— Kto „wy”?

— Tacy jak pan, czarne diabły opełnane przez agitację wielkopolską, rozbiłający jedność ludu.

— A ksiądz pod słowem jedność rozumie narodowe nieświadomości. I zależy księdzu by się utrzymało ono jak najsilniej. Na szczęście ksiądz Skowroński, ksiądz Brandys i dziesiątki innych śląskich duchownych otwierają temu ludowi oczy na to, czym jest w istocie wasza partia...

— Och, widać, że wcale tu nie chodzi o Annę.

— O nią i tylko o nią. Niech mi ksiądz nie zamknie drzwi do niej!

— Nonsens, panie Jaskuła, ja panu właśnie drzwi otwieram...

To mówiąc podszedł do drzwi i z niedwuznacznym gestem je otworzył.

Jaskuła machinalnie podniósł rękę do swego sztywnego, bardzo wysokiego kołnierzyka. Takiego uderzenia nie przewidział. Miał wrażenie, że nie może złapać tchu.

— Co?

— Tak, nie mam dla pana dużej czasu.

Jaskuła postąpił w kierunku księdza Zissa dwa kroki, jakby się miał nań zamiar rzucić. Ostatkiem woli pohamował się i wyszedł bez słowa...

— Panie Jaskuła — rzekł do wychodzącego ksiądz Ziss — jako duszpasterz, ale tylko w tym charakterze, będę pana zawsze oczekiwał...

Potem nastąpiła niefortanna wizyta w Opolu, o czym już wiemy, potem zamknięcie się w sobie i zerwanie z dotychczasowym życiem. po-

tworna awantura z matką, jej wyjazd do córki. Bernard Jaskuła zraził się nie tylko do ludzi, ale i do kościoła, do religii. Zawziął się. Stał się samotnikiem i dziwakiem. Przyjaźnił się tylko z galowym Zymaniem, ale i Zymanek nie wiedział nic o drzazdze tkwiącej w piersi Jaskuły od czasów młodości.

— Budkorz pojechał do księdza Zissa — powiedziała Zymankowa wracając do domu, w którym płaczkobiet i dzieci zagluszają śmiertelne charczenie konającego

Ksiądz Ziss miał, jak na swe stare lata nie mało obowiązków. Już od stycznia 1945 roku był sam w parafii... Przede wszystkim sprawiał mu trudność język polski, którym się do tej pory nie posługiwał, choć znał go na tyle, że mógł wysłuchać spowiedzi wielu swych parafian, których nawet reżim hitlerowski nie potrafił zmusić do używania w konfesjonale języka niemieckiego. Martwił się tym, lecz pocieszał go fakt, że młodsze pokolenie, a zwłaszcza dzieci, mogli się już tylko po niemiecku... Teraz, po wojnie, rzeczą najgorszą dla dziekana był nawrót polszczyzny, z którą nie dawał sobie właściwie rady. Przedtem główny ciężar pracy duszpasterskiej spoczywał na barkach księdza Gruszki; był on duszą parafii złożonej zresztą przede wszystkim z ludności, która ongiś w plebiscycie głosowała w 80% za Polską...

Wypadki roku 1933, zwłaszcza likwidacja wszystkich katolickich organizacji kościelnych, społeczno-wychowawczych, wreszcie rozwiązanie starej katolickiej partii niemieckiej, która była wielce tutaj popularna i która posiadała sympatycznie dużej części niemieckiego duchowieństwa na Śląsku — wywołały pewną niechęć do dyktatora III Rzeszy. Nie mniej ksiądz Ziss był przecież wyraźnie zadowolony z coraz to nowych sukcesów Führera na odcinku polityki zagranicznej, pochwalał też jego „smiałość” koncepcje rozrostu terytorialnego Niemiec, a nawet żywo sympatyzował z ideologią. Na naczelnym miejscu w jego bibliotece stało grube tomisko: „Handbuch der religiösen Gegenwartsfragen” wydane przez ks. archidiecekana dr. Konrada Gröheera. O te to książkę doszło kiedyś do poważnej sprzeczki między księdzem Zissem, a księdzem Gruszką; ksiądz Gruszka był zdumiony bezceremonialnym uznaniem i przeciwieństwem rasistowskich tez, które zawierała ta publikacja. Przy tym wszystkim ksiądz Ziss absolutnie nie przyznawał się do faszyzmu... Umiął jakoś godzić lekturę narodowo-socjalistyczną z lekturą Pisma świętego, z lekturą ewangeliki „Mit Brennender Sorge”. Gdyby i ksiądz Gruszka miał takie podejście do tych spraw — możeby jeszcze dziś żył.

Ciekawa rzecz, z dwu przegranych przez Niemcy wojen ksiądz Ziss silnie, boleśniej przeżył klęskę roku 1918. Ostatnia klęska Niemiec była jakoś tak ogromna, przyniosła tyle nowych zdumiewających faktów („holszewicy w Berlinie! to się w gło wie nie mieści!”), że stawała się po-

prostu przez swoją „monstrualność” wątpliwa, nieprawdopodobna, mało realna; ksiądz Ziss nie umiał tego okresu traktować inaczej niż jakowyś bitny przejściowy, tymczasowy; dlatego nie pojmował, jakże można było serio podchodzić do polskiego państwa na tych terenach „niemieckosłańskich” do akcji repatriacyjnej, zarządzanej przez zwycięskie mocarstwa w Poczdamie i do wielu innych zagadnień. Mówiąc prawdę, gdy chodzi o życie w jego parafii, nie uległo ono obecnie żadnym większym zmianom, poza koniecznością postępowania się językiem polskim w wystąpieniach zewnętrznych; już jednak gdy chodziło o roziny z konfratrami, z kościelnym, o urzędowanie w kancelarii — oczywiście wszystko pozostało po starym.

Po starym trwała też niechęć parafian do księdza Zissa. Lecz ksiądz dziekan zdążył się już pięknie zastarczyć, a o tym zdawał się nie wiedzieć. Był w swym przekonaniu czło- wiekiem najzupełniej odpowiadają-

pobytu na probostwie wujka oceniał jako człowieka o dużej popularności wśród parafian. Ani nabożeństwa zgromadzenia III zakonu św. Franciszka, w którym tercjarzami i tercjarzkami byli sami Polacy, ani pielgrzymki wiernych do św. Anny, ani zebrania Stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo, ani żadna większa uroczystość nie mogły się odbywać bez jego udziału. Ksiądz zaś odciążony w tak wybitny sposób od zajęć, oddawał się swoim sprawom: pisał artykuły i referaty oraz cieszył się swoją bratanicą. Jako członek honorowy Ogólnoniemieckiego Stowarzyszenia Katolickich Studentów wyjeżdżał często do miasta, gdzie w auli wyższej szkoły realnej przewodniczył obradom miejscowego koła. Tymczasem Margot wchodziła pomalutką w kontakty z wieloma ludźmi i wkrótce już po swym przyjeździe orientowała się niezłe w dosyć prostej zresztą geografii terenu... Księdzu Zissowi jej pobyt na plebanii wydawał się rzeczą najzupełniej naturalną.



cym wymogom dobrego duszpasterza. Znajdował się więc w tej najbardziej dla duchownego niebezpiecznej sytuacji, kiedy osiąga się całkowity spokój wewnętrzny... Zastygnąć w spokoju, to straszne, bo spokój wewnętrzny człowieka nie może być stagnacją, ale aktywnością skierowaną ku Bogu. Miał i ksiądz Ziss ongiś swoje bóle, śmierci najbliższych osób, ale trwały one na ogół krótko i nie były na tyle groźne, by trzeba było mówić o jakichś wstrząsach psychicznych.

Margot była bystrą obserwatorką. Księdza Gruszkę od początku swego

Ona jedna pozostała przy życiu z tego nieszczęśliwego małżeństwa Anny. Jej mąż Stadtrat Schmidt, za którego wyszła cztery lata po zerwaniu z Bernardem Jaskułą, porzucił ją w r. 1917 dla jakiejś Włoszki, poznanej w czasie walk na froncie włoskim. Po przegranej wojnie został w wojsku, stacjonował w Nysie, skąd odkomenderowany został jako oficer do walki z powstańcami śląskimi w roku 1921. Anna zajmująca się dwógiem dziećmi, które miała z nim, przyjechała obojętnie wiadomość o jego śmierci w walkach o Kędzierzyn. Ksiądz Ziss przysyłał jej regularnie

sto marek miesięcznie, prócz tego pomagała jej trochę rodzina Schmidtów. Waldemar dorastając oddał się od matki coraz bardziej. Nie była jego powiernicą. Nie wiedziała nic, zupełnie nic, dlaczego popełnił samobójstwo, strzelając do siebie z rewolweru po jakimś komersie studenckim. Nie wiele też wiedziała, jakimi drogami chodziła Margot, uczeszczać do Mittelschule i stale prawie przebywająca poza domem na zbiórkach i wyliczkach Bund Der Deutscher Mädel. Gdy idzie o Margot to ta swoje sieroctwo przyjęła dosyć obojętnie. Wkrótce po zamieszaniu u wujka znalazła posadę. Ksiądz Ziss nie tylko, że nie przyjmował jej pieniędzy, które zarabiała w Volksbibliothek, dokąd wyjeżdżała codziennie od zimy 1939 roku, ale jeszcze dokładał do jej budżetu. Jej elegancja i „pańskie” maniery nie podobały się miejscowej ludności. Opiekun musiał więc znaleźć się pod ostrzałem opinii, nie umiejącej ani współczuć, ani sympatyzować z tą panną bez oca i matki, której los w innych warunkach wszystkich byłby żywo obchodził. Tymczasem w okolicy zaczęły się mnożyć aresztowania. Hitlerowcy ze zdumiewającym wechem trafiali do domów byłych powstańców, do działaczy antyfaszystowskich, do ludzi niewygodnych reżimowi. W ciągu pierwszego roku woiny został właśnie aresztowany ks. Gruszka. Ksiądz Ziss był mocno przejęty, zwłaszcza, że przy tej okazji dokonano rewizji w kancelarii, wnet jednak wrócił do równowagi. Znowu wszystko się ułożyło. Ale w jakiś grudniowy dzień tegoż roku Margot wyszła po południu z domu i już nie wróciła...

Wypadek stał się głośny. Znalazienie na torze kolejowym zwłok Margot Schmidt stwarzało okazję do snucia najbardziej fantastycznych domysłów. — Pokarało go — orzekli dość zgodnie parafianie, gdy wracali z cmentarza na pogrzebie Margot. Wiedzieli — mówiła Bromboszczyna do Nanieryły — tak ja stroił dziewczyna na suknie, kapelusze, a ona mu co? Rzuciła się pod pociąg. Musiał tam być poważne przyczyny... Wszystko jest proste i jasne, czy trzeba wielkiej filozofii na to, by się domyśleć, co mogło zaisić?...

Niech ludzie mówią co chcą, nam cały ten wypadek wydaje się niejawnym. Rzekomo miała się kochać w księdzu Gruszkę? Więc dlaczego powiedziała Gałazkowej nazajutrz po jego aresztowaniu, że państwo hitlerowskie musi karać wszystkich, którzy uprawiają „polską politykę”. Jeśli by miała się rzucić z „rozpaczy” za księdzem Gruszką pod pociąg, to dlaczego z tym aktem rozpaczki czekała aż pięć miesięcy? Zaś tezę o przypadkowym przebiegu przyjaźni księdza Zissa i jego najbliższe otoczenie. Teza ta, posiadająca zresztą wiele cech prawdopodobieństwa, zgadzała w pewnym stopniu niewątpliwie z: boleść księdza Zissa po stracie Margot można było porównać do bóleiści oiwoskiej: wszystkie rodzicielskie uczucia wylaadowały w trosce o nią; lecz jeśli Bóg mu ją zabrał — trudno walczyć z Jego wolą i z niezbadanymi Jego wyrokami. Pierwsze godziny świadomości o jej bezpowrotnym wiecznym odejściu przez to, że był godzinami niekłamano prawdziwego cierpienia należały do najcięższych chyba godzin jego życia. Wszelako spokój wracał szybko i nie mógł go zburzyć dochodzące go z różnych stron przypuszczenia, że w śmierci tej dziecinniej roli ślepego przypadku była chyba minimalna.

Ksiądz Ziss lubił te porę wieczorną, kiedy zjadłszy kolację mógł zasiać do biurka; obok na stolyczku stawała mu zwykle pani Angelika z czajnikiem z mocną herbatą. Nie opadło jeszcze podniecenie, w jakie wprawiła go dzisiejsza wizyta księdza Brandta. Nawet w czasie nabożeństwa czterowowego uporczywie wracała myśl do niektórych zdań, wypowiedzianych przez wyjeżdżającego konfratras. „Świętej pamięci ksiądz Gruszka miał wiernych, a wy — do was należą parafie”. Teraz, rozkładając arkusze swej pracy, czuł się jakoś nieswojo. Powstawał w nim psychiczny zamęt; rzecz zdumiewająca, zjawisko nieznanne księdzu dziekanowi, dla którego sprawy tak wieczne jak dotychczas przedstawiały się od dawien dawna jasno, prosto i wyraźnie.

Usłyszał dzwonek. O tej porze? Po chwili weszła Angelika.

— Jest ktoś do księdza, prosi do konającego.

— Wprowadźcie go, zacna pani Angeliko. Może nie jest tak pilno? Gdyż to, już no! Kto widział!

Wszedł Bernard Jaskuła.

Obaj znowu stali twarzą w twarz tak za czasów młodości. Ksiądz Ziss nie wiedział w pierwszej chwili, kogo mu przypomina ta fizjognomia, te oczy, lecz zanim usłyszał nazwisko już sobie uświadomił, kim był przybywający. O tym Jaskule zapomniał

(Dokończenie na str. 8.)

## RELIGIJNE

i papieżu i infuly i trony  
bo inaczej świat by nie był zbawiony...

A ja w sercu gorzkim, pełnym żalu  
co dzień wyrok haniebny obalam  
i z miłości i gniewu się spalam!

### CHRYSTUS NIEPOZNANY

Żadna bliskość Ciebie nie przybliży  
i żadna miłość przed oczy nie stawia.  
Nic nie widzą prócz krzyży  
na których skazańcy krwawią.

Niebo pełne błyskawic ponurych,  
wstrząs za wstrząsem kruszy wokół ziemię  
i wnet przyjdzie z żołnierzami centurion  
łamać konającym golenie.

Oddech duchów wieje moca gniewną,  
przewala się ze zgrzytem i szumem,  
a ja tylko jedno wiem na pewno:  
żeś Ty Chryste, niepoznany, za nas wśród nich umarł.

### GWIAZDA ZGUBIŁA...

To gwiazda zgubiła Heroda,  
jarzącej się pełną urody,  
gwiazda mędrców, gwiazda wiecznie młoda.

Ta, którą widywał w kolebce,  
jak we śnie widują ślepy  
jasność, która tylko wzrok połączce.

Świeciła i w Betlejem  
i potem nad Janem Chrzcicielem,  
który wycierpiał tak wiele.

Widywał ja morderca król wśród zgrai  
on jeden. Blask jej tajny się czaił.  
Król w okrzyk: „O Adonai! Adonai!”

Zjarł Heroda jad wszczepiony dziwnie:  
schła w nim kość, krew go więcej nie żywi...  
Przeklęta go gwiazda prawdziwie.

Cuchnącego padła — nie szkoda.  
Gwiazda mędrców, gwiazda wiecznie młoda,  
gwiazda zgubiła Heroda.

# Książd Ziss prosi o przebaczenie

całkowicie. Patrząc — dlaczego właśnie dziś zjawia się przed nim. Jest ponury, wypełniony złością i nienawiścią, jest straszny. Książd Ziss boi się go po prostu. Oczywiście, jeśli mówimy o konających, pojedzie z Wiawkiem.

— Hah czy to nie pan? Przecież to zdaje się pan. Herr Jaskuła — uśmiechnął się książd Ziss pogodnie staruszką, który ma już wszystko poza sobą: życie, ludzkie nieporozumienia, słabości, namiętności wpływające na stosunki między człowiekiem, a człowiekiem...

— Tak, to ja.

— Mieliśmy wtedy jakąś sprawę do siebie.

— Tak, mieliśmy i jeszcze mamy dziś...

— Hah?

— Wyście mi wzięli życie. — tu przybliżył się — ale i ja zabiłem...

— "m Göttes willen, kogo?"

— Córkę Anny — Margot.

Książd Ziss pierwszy raz w życiu zdrzął.

Jaskuła jechał ostro, popędzając konia ile sił. Przybyli do Zymanka jeszcze na czas; chory właśnie spojrzawszy przystannął i poczuł się lepiej...

Kiedy wrócili przed plebanie książd Ziss wysiadł i odszedłszy od bryczki bez słowa zaczął wstępować na ganek. Wtedy Jaskuła podbiegł i ująwszy księdza brutalnie za rękaw powiedział:

— Stójcie-no.

Książd Ziss gwałtownie się szaronał, potem zeszywniał. Już raz dziś w rejestrze niebieskim zanotowano zjawisko walki wewnętrznej u księdza Zissa; w przewyciężeniu strachu pomogło mu wówczas poczucie obowiązku. Mianowicie kiedy usłyszał od Jaskuły przerażające wyznanie, zawahał się z wyjązdem. „Czy to w ogóle prawda z tym konającym rajowym? Co mnie może spotkać w drodze? Lecz jeśli prawda, umrze człowiek nie zaopatrzony na wieczność!” Z Przenajświętszym jechał był więc czujnie, miotany najwyższym niepokojem; jednak jeszcze gorzej czuł się w drodze powrotnej. Deprymowało go zacięte milczenie Jaskuły, który nie odpowiedział na kilka jego zdawkowych odezwań.

— Stójcie — no. Czterdzieści lat nie baliście się mnie; czterdzieści lat nie śmierdziało wam łajno, któreście ze mnie zrobili, to teraz niech wam, ora, trochę pośmierdzi... Przymyślałem się wtedy, kiedyście mi drzwi pokazali, że koniec, że nigdy tego progu nie przekroczę, pra. Wyście rzekli, pra...

— Panie Jaskuła, proszę mnie puścić! — przerwał przychodząc do siebie kapłan.

— Wyście rzekli, że będziecie zawsze na mnie czekać jako duszpasterz. Wiem, żeście na mnie nie cze-

Dokończenie ze str. 7

kali, bo jak się na kogoś czeka, to wychodzi się mu naprzeciw. Dlatego też ja tu dziś przyszedłem nie dla siebie. Ja duszpasterzy przestałem potrzebować od tamtych lat. Ja duszpasterzy takich, co przez nienawiść łamią ludzi, darzą tak samo nienawiścią. Jeśli w piekło — to razem pójdziemy: wy za Annę i za mnie i księdza Gruszkę, ja za Margot... W niej zniechęciłem was i Annę. W niej zniechęciłem moje podle życie i wasze podle życie. Nie mówił Zymank? Może mu już gardło zgrubło, jeśli nie powiedział o tej Margot. Teraz nie ma Hitlera, mógł powiedzieć, że wasza Margot była węższą suką gestapowską...

Hah, hah, panie Jaskuła, hah — złapała go groźna dychawica — co? Hah, co?

— Co? Co powiedziałem? Powiedziałem, że blisko jest waszej polityce do mojej zbrodni, że blisko było w waszej polityce do święstw tej Margot. To ona zademonstrowała księdza Gruszkę, ona Lamuzę z Półwsi, ona Rudolfa Kaletę z Lisków. Ona...

Jaskuła zwał z siebie wszystko co go gniołło przez długie lata. Przypominał sobie teraz dokładnie ten dzień, kiedy Zymank wróciłszy z więzienia opolskiego, gdzie siedział krótko, posądzony niesłusznie o sabotaż wojenny, opowiedział mu w największym zaufaniu o tych rzeczach przerażających... Nie wiadomo jak się to stało: prawdopodobnie przez niedopatrzenie wpakowano go do tej samej celi, w której znajdował się już od paru tygodni książd Gruska. Pewnego dnia odbyła się jego konfrontacja z Margot. Gestapo nie obawiało się zdekonspirowania swojej agentki, wiedząc, że i tak skazany był na „wykończenie”...

Przyszła do Jaskuły jakoś zima. Niby to wyciągała go na zwierzenia o matce a właściwie zmierzała do czegoś innego; wypytywała o różnych ludzi, dowiadywała się gdzie i co porabiał Jaskuła w czasie powstania. Ale on zbywał ją coraz bardziej burkliwie; rosta w nim wściekłość. Wreszcie, kiedy nadąsana na dobre bezczelnie powiedziała: „Ja bym wam mogła zaszkodzić, panie Jaskuła, ale ze względu na miłość, jaką mieliście do mojej matki, uchodzi wam to na sucho. Wszystko wiemy o panu!”... Nie dokończyła, ponieważ z jakąś dziką, pierwotną gwałtownością —

Był ofiarą polityki księdza Zissa, ale sam nie zabił Margot dla polityki. Zdawał sobie teraz z tego sprawę i nawet jakby się tym chlubił. Znęcał się nad swoim przeciwnikiem. Przyparł go do drzwi na ganku i mówił. Twarzą w twarz stali naprzeciw siebie ci dwaj grzesznicy, z których

jeden miał stanąć już wkrótce wobec kogoś innego, wobec Boga, który powiedział: „Czuwajcie tedy, bo nie wiecie, o której godzinie przybędzie Pan Wasz”...

Książd Ziss nigdy nie skarżył się na serce, ale widocznie z jego zdrowiem nie było nazbyt dobrze. Poczuł się w pewnej chwili słabo: głowa niby młyn zagubiony, huczący wszystkimi parami walców z nieokreślonej przetrzeni. Zamroczenie było do tego stopnia poważne, że nie zdawał sobie sprawy, kiedy i jak znalazł się w swym wygodnym fotelu w pozycji półleżącej. Zwolna zaczął sobie przypominać. Coraz jaśniej uświadamiał sobie co się stało.

Był zbyt słaby, by się przeciwstawić falom, które zerwały wszystkie brzozy i tany... Czy fale te go pochłonią lub rzucają, jak rozbitą okręt o skały, bez nadziei ratunku, czy też walczyąc kapłan znajdzie w tych odmętach łódź, którą popłynie ku Dobrej Przystani?

Odepchnięta gestem ręki i skrzywieniem twarzy dobra stara Angelika stała jak matka u pochyłonych drzwi nie mogąc pojąć niczego. Nadsluchiwała niespokojnie. On zaś leżał nieruchomo z przymkniętymi oczami i tylko od czasu do czasu można było słyszeć niewyraźne westchnienia. Koło trzeciej w nocy Angelika zaszła do bocznej przybudówki parafialnej, w której mieszkał kościelnik z rodziną. Nie umiała zbudzonym określić dobrze na czym polega groza sytuacji, mówiła tylko, że przeczuwa jakieś nieszczęście.

Książd Ziss zorientował się natychmiast, że stanął u progu; odwrócił gwałtownie głowę i powiedział jakimś nieswoim głosem:

— Telefonować mi zaraz po księdza do Lisków. A on gdzie jest? Mein Gott, mein Gott, mein Gott!

— Kto.

— Papier, pióro! Skreślił parę słów, sam włożył do koperty, dał Angelice by zakleiła...

— Jak tylko to pismo do was sprowadzi, to znowu zesłabi, ale po chwili jeszcze raz otworzył usta i wyszeptał „sfortum zum Jaskuła”. Nie mogła wam, jak wiecie, panie Jaskuła, zaraz doreczyć, bo mieliśmy wiele pracy z pogrzebem; zresztą nie wydawało mi się takie pilne.

Stali nad grobem zarośniętym bluszczem; kamieniarz zwoził taczka materiału na budowę pomnika. Zbliżała się rocznica śmierci księdza dziekana. Znowu była wiosna jak przed rokiem.

— Wtedy był u niego ten książd Brandt; wiecie, pili wino, zaiste mu zaszkodziło. Też za dużo robił. Te winnice go zgubiły. Jeszcze za nim wyście go wezwali do tego Zymanka mówił, że niby „jutro trza usuwać w ogrodzie zbędne pędy”; i macie, parę godzin później już nie żył. A co to on, panie Jaskuła, do was miał, że tak przed samym skonaniem listek wam usadził?

— Już nie pamiętam.

I tak znana pani Angelika nigdy nie dowiedziała się, jakie to konflikty starał się rozwiązać i załatwić w ostatniej chwili swego życia jej pełen spokoju, dostojny książd proboszcz.

Jaskuła już od kilku miesięcy pracował nad odbudową tego, co tak długo leżało w gruzach... Teraz na starość odnalazł Miłość, będącą poza zasięgiem drugiego człowieka. Miłość wszystko w sobie skupiająca; która łączy a nie rozprasza; która buduje a nie burzy, która podnosi a nie przewraca, Miłość, której utracić nie można inaczej jeno z własnego przyzwolenia...

Jaskuła klęknął i zaczął mówić pacierz. Był pewny, że słowo przebaczenia, o które go książd Ziss w liście tak gorąco prosił, dotarło już dawno do bram wieczności.

Zenon LUKASIEWICZ

## Wspominając Jokaya

Twórczość znanego pisarza węgierskiego, Maurycego Jokaya (1825-1894) jest znanym przykładem pisarstwa o wysokiej dojrzałości artystycznej. Był to rasowy pisarz-realista, umiejący z niebywałą precyzją i świeżością słowa odzwierciedlić rzeczywisty stan rzeczy, jaki panował w ówczesnych Węgrzech. Twórczość jego, ze względu na tematykę, z łatwością da się podzielić na powieści historyczne i powieści współczesne. Do pierwszych zaliczymy szereg romansów, związanych tematycznie z okresem przedrewolucyjnym 1848 roku, przeważających ilościowo nad drugiego rodzaju tematyką zainteresowań pisarskich Jokaya. Ale na czoło jego twórczości wysuwają się właśnie powieści współczesne, które są wiernym odbiciem węgierskiej rzeczywistości z okresu Wiosny Ludów. Ten potężny zryw niepodległościowy narodu węgierskiego znalazł w Jokayu nie tylko swego kronikarza ale również wiernego syna ojczyzny, który — obok Petöfiiego, — piśniami swymi i całym życiem zasłużył na tytuł jednego z najgłośniejszych bojowników o niepodległość Węgier. Warto tu wymienić trzy najlepsze jego powieści, których tematyka obraca się w kręgu wydarzeń rewolucji. Są to: „Inne czasy, inni ludzie”, „Kamienne serce” oraz „Poruszmy z posad ziemię”. Powieści te wyszły przed wojną w tłumaczeniach polskich, lecz tylko dwie ostatnie z nich doczekały się wydania powojennego. I tym pozycjom pragniemy poświęcić parę uwag.

„Kamienne serce” a właściwie „Synowie człowieka o kamiennym sercu” (por. J. Pogonowski: „Maurycy Jokay w Polsce” wyd. „Biblioteka Polska” Warszawa 1935) opisuje dzieje patriotycznej młodzieży węgierskiej w czasach wielkiego przełomu. Wspaniałe obrazy epickie przepojone głębokim liryzmem pozwalają zaliczyć tę powieść do najwybitniejszych osiągnięć Jokaya. „Kamienne serce” zaczyna przedśmiertną rozmową magnata węgierskiego, Kazimierza Baradlaya, z żoną. Jest to rozmowa człowieka o „kamiennym sercu”, który nie uznaje cudzych przekonań a nawet, gdy odchodzi z tego świata, dyktuje żonie swe żelazne prawa, wynikające z patriarchalnej uzurpacji, bezwzględnej i nieznoszącej sprzeciwów — władzy nad klanem Baradlayów. — „Byłaś mi — mówi umierający — wierną, posłuszną żoną przez całe życie. Święty był dla ciebie każdy mój rozkaz. Blisko godzinie jeszcze będę twym panem. Co jednak powiem ci w tej godzinie, będzie treścią całego twego żywota. I po śmierci zostanę twym panem, twym władcą, tyranem o sercu z kamienia”. (t. I, str. 13).

Po tej niejako ekspozycji dalsza fabuła utworu tocząca się wartkim nurtem barwnych opowieści dotyczy synów zmarłego Baradlaya. Jeden z nich, Edmund, przebywał w tym czasie na dworze w Petersburgu. Na wieść o śmierci ojca, przedko podążył wraz z przyjacielem, Kamirowem, na Węgry. Podróż pełną przygód i niebezpieczeństw, odmalował Jokay bardzo romantycznie. Drugi członek rodu Baradlayów, Ryszard, jest rotmistrzem w Wiedniu. W tymże mieście poznajemy również szereg nowych postaci, a przede wszystkim hrabiego Plankenhörst, trzeciego syna Baradlaya — Jenő oraz jego przyszłą narzeczoną — Edytę. Mamy też w powieści wspaniałe odmalowane sceny batalistyczne armii narodowej niejednokrotnie potraktowane z ironią lub co najmniej ze szczyptą niewinnego uśmieszku. Ale nie brak u Jokaya i gorzkich a czasem wręcz

ostrych ujęć lub określeń swych bohaterów. Mamy wreszcie wspaniały szereg wątków dramatycznych, jak np. w rozdziałach „Światło słoneczne i światło księżycy” oraz „Ciemność”, gdzie połączenie gry światła z końcową pointą wykrzyknikową: „Zabiję ich, wymorduję” stwarza sytuację, zamkniętą całkowicie w konwencjach par excellence romantycznych. Powieść mimo tragicznego zakończenia posiada jednak akcent optymizmu. Oto ostatnie słowa epilogu: „... Pan jest dobrotliwy. On ziemi krwią przesiąkniętą daje zieloną murawę, białe jagnię murawie, a niewinnego malego aniołka na towarzysza zabawy; ranom głębokim balsam zapomnienia — i nadzieję lepszej przyszłości biednemu węgierskiemu narodowi”.

DRUGIM utworem Jokaya, o którym chcę tu wspomnieć, jest dwutomowa powieść pt. „Poruszmy z posad ziemię”. Zasluguje ona na miano najlepszego utworu prozaika węgierskiego. Wszystkie cechy jego odbijają się jak w zwierciadle na tle prostej a kunsztownej konstrukcji fabularnej tej świetnej książki. Tematyka związana jest z okresem przedrewolucyjnym a pokazuje nam życie studentów, pełnych zapału i temperamentu, którzy prowadzą starą o szlachetnej tradycji „Kronikę Cytwarską”, nadając jej treść rewolucyjną, progresywną. Działalność ich zostaje wykryta i wydaleniu z uczelni, rozchodzą się w różne strony z umową, że po upływie piętnastu lat spotkają się w Peszcie. Po tym fakcie, obiektyw swej obserwacji skierował Jokay na postać czołową utworu, na młodego poetę o rewolucyjnych, niepodległościowych tendencjach, Kolomana Jenő. Cała jego kariera, jego upadki i wzloty, nadzieje i rozpacz, przesuwają się przed oczyma czytelnika a uzyskane stał wrazenia są czasami tak mocne, iż wydaje się, że czytamy utwór o dużej ilości elementów fantastycznych. A jednak dzieje młodego Kolomana i wielu innych drugoplanowych bohaterów powieści, są niewątpliwie realistyczne. Nie siłił się Jokay na głębszą analizę psychologiczną swych bohaterów. Przedstawił ich prosto, bez fałszywych lub sztucznych ujęć, z lekka szkicując tylko ich postacie. Barwy do tych szkiców wybrał Jokay po mistrzowsku. To czyni jego bohaterów konkretnymi i żywymi ludźmi w prawdziwych i konkretnych zdarzeniach.

W powieści możemy najlepiej poznać głęboko moralny temperament Jokaya, jego silne odczucie tętna życia wszystkich warstw społeczeństwa węgierskiego. I chociaż na miejscu spotkania, po piętnastu latach, przybyła tylko jedna osoba, bo inni spodziewani — już nie żyją, to jednak duch wyzwoleniecko-narodowościowy poezji i czynów Kolomana przetrwał, by przejść z ideału w konkret. Jokay kończy swą powieść słowami otuchy i mocnej wiary: „Ale bądźmy spokojni. Z czasem wszystko będzie dobrze... Ziemia jednak, którą oni w ruch wprawili, powoli toczy się dalej naprzód...”

Niewątpliwie poważne walory artystyczne i estetyczne, stawiają dwie omawiane powieści w rzędzie arcydzieł pięknej prozy węgierskiej, powstałej na tle wypadków Wiosny Ludów. Szkoda, że czytelnikowi polskiemu udostępiono dotychczas tylko dwie pozycje tego pisarza. Twórczość Jokaya w swej ogromnej większości zasługuje na przekazanie społeczeństwu polskiemu.

Na koniec uwaga do Wydawców: dlaczego nie podano nazwisk tłumaczy? Przekłady wydają się być wierne i staranne.

### DEWOCIONALIA K S I A Ż K I

Łańcuszki, medaliki, ryngrafy, wota, krzyżyki, obrączki ślubne, lichtarzyki, pasyjki, obrazy, obrazki komunijne, kadzidło, różańce, figury gipsowe, świece liturgiczne

Teologiczne, baletrystyka, młodzieżowe  
WYDAWNICTWA „PAX”  
SPRZĘT KOŚCIELNY  
Lichtarze i krzyże ołtarzowe, naczyńia liturgiczne

poleca  
„VERITAS”

Białystok, Dąbrowskiego 1  
Bydgoszcz, 1-go Maja 54  
Częstochowa, 7 Kamieniec 27  
Gdynia, Świętojańska 46  
Głębokie, Mickiewicza 36  
Kalisz, Garbarska 2  
Kraków, Sławkowska 20  
Lublin, Królewska 7  
Łódź, Andrzeja Struga 14  
Nowy Sącz, św. Ducha 3  
Pabianice, Armii Czerw. 27

Pielpń, Stalna 24  
Poznań, Kantaka 10  
Siedlce, Gen. Świerczewskiego 20  
Sopot, Prez. Bleruta 7/9  
Świdnica, Nowotki 48  
Tarnów, Krakowska 39  
Toruń, Rynek Staromiejski 17  
Wrocław, Katedralna 8  
Warszawa, Widok 5  
Warszawa, Mokotowska 43

CENTRALA I HURTOWNIA - WARSZAWA UL. MOKOTOWSKA 43  
Zamówienia wykonujemy za zaliczeniem

Zbyszko Bednorz

\*) Maurycy Jokay: Kamienne serce. Wyd. Spółdz. Wyd. „Wiedza” Warszawa, 1948.

\*\*) Poruszmy z posad ziemię. Wyd. „Książka i Wiedza”. Warszawa 1949.



Sławomir BŁAUT

# W POGONI ZA ORYGINALNOŚCIĄ

RZADKO kiedy książka wywołuje w czytelniku wrażenia tak różnorodne i sprzeczne, jak ostatnia powieść Jalu Kurka, o której będzie mowa w tej mocno spóźnionej recenzji. Pod pióro cisną się słowa tak rozmaite, ścierają się sądy tak odmienne, że jakaś bilansująca ocena jest dla krytyka sprawą nader kłopotliwą. Ta swoista ambivalencja znajduje pełne uzasadnienie w książce, która stanowi zgoła osobliwy, ale też nadzwyczaj interesujący konglomerat. Wymieszanie gatunkowo różnych elementów decyduje o złożonej, warstwowej budowie utworu. Chęć chwycenia życia w jego właściwych proporcjach idzie w parze z impresjonistyczną kokieterią, próbom epickiej obiektywizacji towarzyszą liryczne wzloty, a obok dążenia do omińnięcia tradycyjnych szablonów wyczuwamy modernistyczną stylizację. Znać jest powiedzenie Irzykowskiego, że o każdej książce napisać można zarówno pozytywną, jak i negatywną recenzję. Przystępując do spisania kilku uwag o „Oceanie Nie-spokojnym”, stwierdzamy, że zdanie to nie jest jedynie efektywnym paradoksem.

Na tle wystąpień powieściowych, z jakimi zetknęliśmy się w ciągu ostatnich kilku lat „Ocean Nie-spokojny” stanowi pozycję odrębną i to odrębną odrębnością postulowaną, na co wskazują zalety i potknięcia książki. Pamiętajmy o tym, że Jalu Kurek jest pisarzem, który zawsze silnie manifestuje swoją odmienność, wpadając przy tym niejednokrotnie w pretensjonalność i manierę.

Powieść Jalu Kurka skłania się ku socrealizmowi, a przez krytykę marksistowską została oceniona bardzo surowo. Kierowanie się w działaniu twórczym metodą realizmu socjalistycznego nie jest wyłącznie sprawą światopoglądowego wyboru, ale dla wielu pisarzy starszego pokolenia, a wśród nich i dla Jalu Kurka, pociągą za sobą konieczność gruntownej przebudowy pisarskiego warsztatu (mówią wszyscy, że to bardzo brzydkie i niezręczne słowo, ale znajdzie lepsze!). A Kurek mocno jest przywiązany do arsenału starych i wypróbowanych sposobów wyrażania i w „Oceanie Nie-spokojnym” widać wyraźnie, jak mu ich żal i jak trudno mu się z nimi rozstać. Przejmując z socrealizmu pewne wyznaczniki w spojrzeniu na świat, w hierarchizacji i wartościowaniu zjawisk, chce pozostać przy swej dawnej poetyce, próbuje nowe treści wyrazić w starym kształcie. Robi niepewny krok w obrany kierunek i nie może zdobyć się na podjęcie stanowczej decyzji. To właśnie niezdecydowanie, te przeciwieństwa tkwiące w samych założeniach, niemal u kolebki dzieła, wykrzywiają jego koncepcję. Ale „Ocean Nie-spokojny” pobudza do zastanowienia nie tylko wikłaniem się autora we własnych sprzecznościach, lecz także swymi rzetelnymi osiągnięciami.

„Ocean Nie-spokojny” pomyślany jest jako szeroka, wielopłaszczyznowa powieść. Zamierzenie to implikuje pewną luźność konstrukcyjną, świadomie i celowo pogłębioną w wykonaniu. Wielość płaszczyzn realizuje się wielością wątków, które łącząc się szeregiem wiązań fabularnych o różnym nasileniu, grupują się wokół dwóch centralnych nurtów. Budowa lotnisk linii komunikacyjnej Panagra na chilijskich wyspach w cieśninie Magellana, lotnisk, które w istocie mają być bazami strategicznymi Stanów Zjednoczonych — to pierwsze spoiwo powieści. Drugi zworek kompozycyjny stanowią losy kapitana Jarwicka vel Jurewicza, Polaka, służącego w armii amerykańskiej i dzieje jego chimerycznej miłości do

sympatycznej Chilijki, która — jak się okazuje — również jest polskiego pochodzenia. Mnogość wydarzeń i postaci, przesuwających się przez karty powieści, ująć można w trzy płaszczyzny, trzy środowiska, mające pokazać układ i drogi rozwoju sił społecznych i politycznych współczesnego Chile.

Niewątpliwie najsilniejsze piętno na życiu „republik zima” odciska troskliwa „opieka” Stanów Zjednoczonych. Tak też jest w powieści Kurka. Amerykanie, kierujący pracami budowlanymi na Desolation i Madre de Dios i stanowiący obsadę przyszłych lotnisk, to krzepnący zawizek jednej z wielu rozsianych po całym świecie placówek wzmagającego się imperializmu, bezwzględnie podporządkowujący swoim potrzebom całe otoczenie.

Na czoło świata Norteamerykanów wysuwa się komendant bazy Desolation Sud, pułkownik Austin. I to jest ciekawa postać, nie przeciągnięta i choć zdecydowanie negatywna, nie uczerniona nadmiernie. Środowisko to reprezentuje poza nim gromada młodych Amerykanów, którzy grają w rugby, smarują listy do swych dziewcząt w Stanach i nudzą się beznadziejnie, z utęsknieniem oczekują na stały transport whisky, w której topią apatię i zniechęcenie. Na tle ciasnoty i ubóstwa duchowego życia tych młodych ludzi wykwiła przedziwny „system” filozoficzny o swoistej egzystencjalistycznym wydźwięku, ujęty w niezbyt błyskotliwy aforyzm: „G... i rozpacz”. Ponętny zapach dolara skupia licznych satelitów wokół pułkownika Austina i bazy Desolation Sud. Doskonale zaaklimatyzowały się tu dwa odrażające indywidualia — a w kreśleniu takich właśnie postaci Kurek szczególnie się lubuje — Rivas, kierownik budowy i handlarz Mateo. W obnażaniu nicości moralnej tych osobników pasja demaskatorska Kurka przeradza się w naturalistyczną obsesję.

Gdybyśmy przyjęli, że postępowanie ludzi typu Austina, Riva'a czy Mateo stanowi dominantę w dzisiejszym życiu Chile, to musielibyśmy stwierdzić, że osoby zbierające się codziennie w kasynie portowym na Pillar należą już do dnia wczorajszego. I znów podziwiać trzeba inwencję i upodobanie autora w odmalowaniu tego skupiska ludzi zdziwaczalych i wytrąconych z normalnego biegu życia. Doskonale wytrzymała jest atmosfera tego kasyna; codzienna lektura czasopism, wyszukiwanie i komentowanie najnowszych wiadomości wspaniale oddaje nastroje, mentalność i przerażającą monotonię życia uczestników pillarskiego sympozjonu. Kurek daje tu świetne miniatury sytuacyjne i charakterologiczne.

JEST wreszcie w „Oceanie Nie-spokojnym” świat robotniczy, kryjący w sobie ferment przyszłych zmian. Pisarz zbliża tu przede wszystkim postać Miguela Samaniegos. Chyba o tego człowieka można mieć do autora największą pretensję. Zamierzona sylwetka chilijskiego rewolucjonisty rozplywa się w potocznych tyradach — merytorycznie zresztą słusznych — które stanowią cykl wykładów z ekonomii politycznej i socjologii. Osąd moralny postępowania bohaterów i ocena polityczna opisywanych wydarzeń nie są wtopione całkowicie w świat utworu, lecz ciężar ich przerzucony zostaje albo na dziwaczne nieraz enuncjacje odautorskie, albo na Miguela — Kurkowego porte-parole. Odrealnienie tej postaci wskutek odciosania jej z czysto ludzkich właściwości: Miguel nie kocha, nie lęka się, jest zawsze spokojny i opanowany, pochłonięty całkowicie ideą walki. Pewna klasycyzacja pozytywnego bohatera jest chyba nieunikniona, z chwilą jednak, gdy staje się on kamiennym posągami, przechodzi ze świata ludzi i rzeczy w świat mitów. A tam, gdzie życie wymaga

konkretnego działania, sama mitologia nie wystarcza.

Osoba kapitana Jurewicza spaja omówione trzy płaszczyzny, a ponadto w jego jednostkowy los wpisuje autor sens ogólniejszy — dzieje jego, to dzieje błąkającego się emigranta, który odnajduje drogę powrotu do kraju. Sam pomysł tej postaci i jej ustawienie w świecie powieściowym budzi poważne wątpliwości. Wskutek silnego zsubiektywizowania motywów niepowracania Jurewicza jest mało reprezentatywne. Z pewnością ciekawsze i bliższe prawdzie tamtych czasów byłoby pokazanie przełamania oporów politycznych czy światopoglądowych. Obok uproszczenia spraw uczuciowych (zbyt łatwa zmiana obiektu miłości) mamy ich sztuczne zwikłanie (niezwykłe kapryśny rozwój tych spraw u Jurewicza i Barbary). Choroba woli, utrudniająca bohaterowi powzięcie decyzji, obok zdolności do jednorazowego efektownego gestu wskazywałaby na to, że genealogii Jurewicza szukać należy gdzieś pod znakiem „inteligentkich obrachunków”, a może jeszcze dalej w kracjach romantycznej preeji. Postać Jurewicza wchłonęła w siebie wiele elementów tradycyjnych, nie zawsze najlepszej jakości (drażniące melodramatyczny sentymentalizm w rozwiązaniu konfliktu miłosnego). Autor z książki swej uczynić chce zamknięty świat i w tych ramach wymierzyć każdemu z bohaterów sprawiedliwość. Odczuwamy to silnie w zakończeniu, gdzie autor gwałtownie uśmierca czarne typy, kojarzy pary małżeńskie, daje wreszcie pośpieszne rozwiązanie konfliktów społecznych, pośpieszne i nieprawdziwe, bo nie mające pokrycia w rzeczywistości. Ten wymiar sprawiedliwości nabiera jakiegoś szczególnie kupieckiego odcienia wobec Jurewicza. Traci on nogę — jakby za karę, że zwleka z decyzją powrotu — a za tę cenę otrzymuje

kochaną kobietę — jakby w nagrodę, że jest przecież porządnym człowiekiem. Potem wszystko toczy się już w jednym kierunku, lektura „Pana Tadeusza” i krzepiące przemówienia radiowe przyspieszają powrót do kraju, więc do pełnego happy end'u bardzo już niedaleko. Trafnie natomiast zwrócił Kurek uwagę na jeden bardzo znamieny szczegół. Jurewicz, w którym myśl o powrocie kiełkuje od dawna, bezskutecznie stara się o zwolnienie z armii amerykańskiej, dopóki jest potrzebny. Kiedy staje się kaleką, władze skwapliwie przychylają się do tej jego prośby. Niepotrzebni mogą odejść...

Na marginesie swej powieści podejmuje Kurek kilkakrotnie wycieczki przeciw chrześcijaństwu. „...koczownicy indiańscy byli głodni i sprawnym prawem szukali jedzenia w stadach owiec pasących się w stepie. Nie było gdzie polować. Nowi dziedzice, którzy tu przybyli z morza, grodzili step drutami i ogłaszali dzierżawę za swoje. I piętnowali czerwonych obcięciem uszu lub głowy; taka sprawiedliwość rabusia. Tak dyktowała chrześcijańska moralność. Jakże wymowna jest ta błyskotliwa refleksja! Nie jest wcale tajemnicą, że katolicy popełnili wiele błędów, i zakrywanie tych faktów listkami figowym byłoby bezcelowe, błędę te jednak wynikają z przyrodzonej ułomności ludzkiej i nie mogą świadczyć przeciw nauce Chrystusa. „Powinniśmy się strzec nie tylko przed pomieszczeniem Kościoła z jakąkolwiek cywilizacją, lecz przed pomieszczeniem w czymkolwiek Kościele z jakąkolwiek cywilizacją chrześcijańską czy światem chrześcijańskim, a katolicyzmu ze światem katolickim... Traktowanie katolicyzmu tak, jakby był społeczeństwem ziemskim czy ziemską cywilizacją... jest błędem.” — pisze Jacques Maritain „Religia i kultura”.

(Dokończenie na str. 10)

## N a W y b r z e ż u

NIE byłem już wiele miesięcy na Wybrzeżu i pierwszym zjawiskiem rzucającym się w oczy jest coraz ściślej związaną Gdańską, Sopotu i Gdyni w jeden organizm miejski. Od czasu, kiedy podróż z Sopotu do Gdańska nowobudowaną kolejką trwa 20 minut — słowo Trójmiasto przestało być słowem z planów a stało się rzeczywistością. Roboty nad doprowadzeniem kolejki do Gdyni są już w wielu miejscach ukończone i niedługo szybka i wygodna komunikacja spoi oba nasze wschodnie porty.

Naszą świąteczną wędrowkę po lokalach rozrywek kulturalnych zaczęliśmy od kina. Krótkie wahanie — co wybrać: czy dość wesóło, ale w gruncie rzeczy trywialny i piaski „Skandal w Clochemerle” czy nowy film włoski „Nie ma pokoju pod oliwkami” rozstrzygnęliśmy na korzyść tego ostatniego. Obraz ten jest artystycznie znacznie słabszy od „Złodziei rowerów” klasycznego filmu włoskiego realizmu, niemniej leży na tej samej linii odważnej, demaskatorskiej sztuki. Ekspozycja filmu jest bardzo oryginalna, rozpoczyna się czymś w rodzaju kroniki filmowej, czy filmu etnograficznego o pasterzach owiec — mieszkańcach skalistego Południa. Wprowadza to atmosferę autentyczności, potęgowaną nie zwykle naturalną grą aktorów i światem stosowaną techniką. Jakby przypadkowych nieupozorowanych obrazów. Szkoda tylko że tej śmiałej koncepcji stanęła w poprzek nieco melodramatyczna fabuła pełna pościelowej, tragicznej miłości, krwawej zemsty i rodzinnych dramatów.

Byliśmy także w przytulnym teatrze Kameralnym w Sopocie, gdzie wystawiono „Kandidę” Shawa. Oglądając parę lat temu tę sztukę przyjąłem ją jako apoteozę czystej i mądrej kobiety. Punktem węzłowym konfliktu są słowa męża Kandidy pa

teaty zakochanego w Kandidzie. Zrazu poeta stara się zbyć wyznanie zakochanego żartem, ale potem opada z niego maska spokoju i ton wyższoci żalunie się w okrzyku „Ty nie zdajesz sobie chyba sprawy, Eugeniuszu, jak diabelnie łatwo zachwiał wiarę człowieka w siebie!” Otóż to! Pastor budował swoje szczęście na wierze w siebie, w swoją prawdość i szlachetność, otoczony każdziadną atmosferą zachwyty i czci. I nie wiadomo, co jest gorszym dla niego dramatem: czy perspektywa utraty Kandidy, czy owo zakwestionowanie jego własnych wartości, ko nieczność zejścia z karnalności, piedestału, na który wyniósł go nie tylko talent, ale także tysiące starań, trosk i zabiegów niewidocznych organizatorów jego sukcesów życiowych. Morell przez trzy akty stacza się z tych wyżyn, to znaczy człowieczeje i nawet w brutalnej scenie bójki z Eugeniuszem jest sympatyczniejszy niż wtedy, kiedy wygłasza wniosłość aforyzmy. Jeśli dramat polega na zmianie wnętrza bohatera, na wielkim przełomie psychicznym, to bohaterem sztuki Shawa nie jest ani Kandida, ani Eugeniusz, ale właśnie Morell. Spór poezji z retoryką kończy się wprawdzie wyborem przedstawiciela tej ostatniej, ale jako słabszego.

Sztukę pieczęlowicie wyreżyserował Wiktor Biegański. Bardzo dobra Kandidą była Kira Peplowska z wielką intuicją wydobywająca z tekstu to, co stanowi przemóżny urok bohaterki. Świetną rolę epizodyczną panny Garnett stworzyła Zofia Mayr, przesycając tę małą rolę ogromnym humorem, to znaczy wydobywaniem wszystkich tonów komizmu bez popadania w groteskową przesadę. Warto zapamiętać nazwisko tej młodej, utalentowanej aktorki, zapowiadającej się jako wybitna odtwórczyni ról charakterystycznych.

Panowie w tej sztuce o kobiecie dyskretnie pozostali o krok w tyle,

Pastora grał Juliusz Lubicz-Lisowski, Eugeniusza — Ryszard Marzeczki. Pastor był poprawny i rozgadany, poeta, jak przystało na poetę cichy, przestraszony i odrobnie za błąd (głosowo zwłaszcza). Poza tym obaj nie bardzo, jak to się mówi w żargonie teatralnym „kontakto wali”. Choćby w tej kapitalnej scenie I-go aktu stanowiącego świetne pole do popisu dla męskiego duetu: pastor ciągnie swoje reżerwy „bas so profundo” w tym czasie Eugeniusz musi grać, bez przerwy grać, jeżyć się wewnętrznie, związać, grać oczami, gestem, ruchem rąk i wszy stki innymi środkami ekspresji aktorskiej. Ojca Kandidy, brzydkiego krwiojiję zagrał pewnie a cynicznie Mieczysław Nawrocki. Potulnym wilkizwsem był Juliusz Za wierski. Było to naprawdę dobre, starannie przygotowane przedstawienie.

Melomanom zgotowano aż dwie (i to jakie) niespodzianki. Noworoczny koncert Filharmonii Bałtyckiej — wiolinowy klucz muzycznego sezonu stał pod znakiem skrzypiec. Grali laureaci konkursu Winiawskiego: Igor Iwanow — koncert skrzypcowy M. Karłowicza, dobrze znany publiczności wybrzeżowej Henryk Palulis zagrał piękny koncert Mendelssohna, a Edmund Stankiewicz — koncert Wieniawskiego. Orkiestrą dyrygował Kazimierz Wilkomirski. W życiu muzycznym Wybrzeża pamiętny ten koncert wyznaczał na leży czerwonym ołówkiem.

Nie zdążyłem już niestety pisać na „Wesele Figara” Mozarta w wykonaniu Studio Operowego Filharmonii Bałtyckiej. Musiałem zadowolić się kolorowym afiszem i refleksją jak to czas leci; wydaje się, że tak niedawno odbyła się za dyrektoriatu Zygmunta Latoszewskiego, organizator Studio pierwsza z niepokołem oczekiwaną premiera. A naprawdę było to — jak sprawdziliśmy w programie — 18 czerwca 1950 r. Dziś

siegnięto po jedną z najpiękniejszych i nie łatwych oper. Oby ambicje szły w parze z możliwościami i stale podnoszącym się (oby) poziomem artystycznym.

Znany malarz zaprowadził mnie na „Wystawę rysunków i akwarel” w sopockim lokalu wystawowym Związku Artystów Plastyków. O lokalu za chwilę, teraz o rysunkach i akwarelach. Antoni Szymanik dał dwa ładne zimowe pejzaże czysto, wrażliwie malowane o ładnej grze niebieskości i wytrawionych czerwieni. Pejzaż i natura Kazimierza Sromkiewicza stanowią poważne i uczciwe studio natury o zbyt może jednak schematycznie traktowanych płaszczyznach barwnych. Bogdan Kiziorek dał dwa świeże pejzaże kaszubskie z wyraźną ambicją uchwycenia typowych cech krajobrazu tej ziemi. Zdzisław Kałedkiewicz bardzo dobry w kolorze motywy z Oliwy, Brzosko „Jodzie” ładne ale wiotkie, malowane techniką impresjonistyczną na na wzór R. Dyfy. Dobry studyjny, konstruktywny rysunek (Ingres mówił, że rysunek jest sumieniem malarza) pokazał Sromkiewicz, Kałedkiewicz, Reichnerowa (nieco zwiót czała forma), Łakomiak i Władysław Lam. To wszystko dzieje się w nie jasnym lokalu sklepowym przy jednej z najruchliwszych ulic Sopotu, tam bowiem władze miejskie przydzieliły lokal wystawowy jednemu z najbardziej aktywnych i twórczych ośrodków plastycznych w kraju. „Apełujemy przeto”... jak się to zwykło pisać o takich gorszących sprawach.

W Gdańsku odbudowa idzie w dwu kierunkach, albo raczej, na dwu poziomach. W pionie naddzielnym bohaterami są architekci i murarze, a w pionie podziemnym — archeolodzy, którzy warstwą za warstwą odsłaniają najstarsze fundamenty tego, co poraz pierwszy pojawiła się w pergaminach jako urbs Gvddanyza. Ale o tym opowiemy innym razem.

Stefan Martha

Andrzej AKSAK

## PRZECIWI PEWNEMU ARTYKUŁOWI

UOGÓLNIENIA, zwłaszcza wypły wające z dość powierzchownej analizy, grożą zawsze niebezpieczeństwem uproszczeń. Zdarza się nie-raz, że przedstawiciel jakiejś grupy społecznej czy jakiegoś rocznika, swoje własne, indywidualne przeży-cia i przemyślenia uważa, — i to zaznaczmy od razu: uważa często niesłusznie, za typowe dla całej gru-py. Stało się to — moim zdaniem — i z artykułem Ignacego Rutkiewicza p. t. „Przeciw pewnej mentalności“ — drukowanym w 50(368) numerze „Dziś i jutro“ z 14 grudnia 1952 ro-ku.

„Wyznania“ — Ignacego Rutkie-wicza nie dotyczą tylko osoby auto-ra, (nie było to nawet celem artyku-łu), ale całego inteligenckiego pokolenia katolików z lat 1930.

Ignacy Rutkiewicz mówi w pierw-szej części swego artykułu, że katolicy pochodzenia inteligenckiego pokolenia lat 30-tych przywykli do łączenia katolicyzmu w jedną, nie-rozdzelną całość z określoną posta-wą społeczną, postawą burżuazyjną.

Znaczna większość moich inteli-gentkich i katolickich kolegów i przyjaciół urodziła się w latach 1929 — 32. Ale spośród kilku wypowiedzi jakie na temat tego artykułu od nich usłyszałem — jedna ocena wypada dla autora pozytywnie, gdyż mówiła tylko o „rażących przejawach ni-ach“. W pozostałych wypadkach artykuł p. t. „Przeciw pewnej mentalności“ budzi jak najdalej idące sprzeciwy.

Co było wspólne dla wszystkich wypowiedzi, i tych najbardziej po-zytywnych dla tego artykułu i tych najbardziej dlań negatywnych? To mianowicie, że omawiany artykuł jest spóźniony, bo tezy jego są zasa-dniczo słuszne ale odnośnie sytuacji

jaka panowała u nas w końcu 1950 roku — czy najpóźniej na początku 1951. Ale sytuacja ta uległa zmia-nie: na VI Plenum K. C. PZPR. wy-sunięto hasło Frontu Narodowego w walce o pokój i Plan Sześcioletni. Okres powszechnej dyskusji nad Pro-jektem Konstytucji, a w ostatnich miesiącach kampania wyborcza w Polsce, i dyskusja nad programem wyborczym Frontu Narodowego, ar-tykuły w związku z tym się ukazu-jące (m. in. 1 w „Dziś i jutro“) — stały się wielką szkołą politycznego myślenia dla wszystkich Polaków — stały się nią niewątpliwie i dla inteli-gentckiego pokolenia katolików z lat z 1930.

Publicyście, zwłaszcza publicyście katolickiemu, nie wolno upraszczać tak, jak to czyni Ignacy Rutkiewicz — nie wolno pomijać tych wypad-ków, które znacznie przerzuciły sze regł ludzi o „pewnej mentalności“, powinien natomiast starać się ukazywać prawdziwego człowieka na tle prawdziwych przemian, a nie jakąś umowną, schematyczną wykoncy-powaną przy biurku postać, nadającą się najwyżej do wykresu. — Moje własne przeżycia i przemyślenia nie domagają się „rangi symbolu“ — mają tylko pretensje do typowości. I wydaje mi się, że są typowe dla omawianych roczników omawianej grupy społecznej. I. Rutkiewicz za-pomina w swoim artykule o tym, że „ten świat, w którym ujrzelismy światło dzienne“, — od rewolucji od dzieła okres drugiej wojny świato-wej, który wielu z nas przygotował do wielkich, rewolucyjnych prze-mian ekonomiczno-społecznych i u-strojowo-politycznych.

Zresztą i Rutkiewicz myli się już w pierwszych zdaniach, gdy pisze: „Ten świat, w którym ujrzelismy

światło dzienne, był światem nie-zaprzeczalnie pięknym i powabnym. Tak przynajmniej nam się wówczas wydawało. Urok tego swia ta : jego piękno polegały jednak, jak się to miało niebawem okazać na naszej niewiedzy. Niewiedza bo-wiem nie zawsze jest źródłem roz-terki, przeciwnie, bardzo często da-je błogie poczucie spokoju, ustalone go raz na zawsze porządku, bez-względne bezpieczeństwo. Nasza niewiedza nie była bynajmniej ab-solutna: o świecie i życiu wiedzieli śmy przecież wiele, bez zająknięcia potrafilibyśmy wyliczyć posiadłości francuskie w Afryce, wyrazić podziw dla sukcesów armii japońskiej w Chinach i entuzjastycznie się roz-pędzaniem „bolszewickich“ manifes-tacyj pierwszomajowych przez poli-cję. Naszą wiedzę o świecie porząd-kowaliśmy według podanego nam przez starszych klucza. Szufiadki, do których wkładaliśmy poszczegól-ne pojęcia, sprawy i rzeczy były — nieprzypadkowo ma się rozumieć — troskliwie izolowane między sobą. Świat był zbudowany i urządzony mocno, solidnie, pewnie“.

No cóż, w 1939 roku mieliśmy lat dziesięć, dziewięć czy mniej, — o świecie współczesnym wiedzieliśmy mało. Ja wiedziałem może trochę więcej od I. Rutkiewicza. Nie oby mi był termin: Bereza, słyszałem o tym, jak J. Piłsudski rozprawiał się ze swymi politycznymi przeciwni-kami (Brześć, gen. Zagórski), miałem ciotecznego brata, który choć był bardzo dobrym uczniem — nie dostał matury za to, że odmówił w szkole wzięcia udziału w akcji pi-sania kartek z życzeniami do mar-szałka Piłsudskiego, który wypo-czywał wtedy na Maderze, mówio-no przy mnie o „manii przesładow-

czej“ dyktatora, o tym, że Polska znajduje się w rękach nienormalne-go człowieka, a także o tym, że ja-go współpracownicy i następcy są od niego jeszcze gorsi i mniej zdolni.

Nie należy przeceniać niewiedzy młodzieży. Dziś, kiedy w ramach swych studiów przeprowadzam roz-mowy z dziećmi — korzystającymi z czytelni (uczniowie klas 3-iej do 7-iej — a więc chłopcy i dziewczęta od lat 9 — 14) widzę jak wiele po-trafią one powieścić na temat przeczytanych książek, jak wiele wiedzą o współczesnym świecie.

Podczas okupacji — w pierwszym roku wojny — widziałem w Warsza-wie 10 — 12 letniego gazeciarza, któ-ry płakał nad nadzwyczajnym do-datkim okupacyjnego „Nowego Ku-riera Warszawskiego“ z wiadomością o kapitulacji Francji — zatem orien-tował się on w sytuacji politycznej.

A więc moje wiadomości sprzed 1939 roku o ówczesnej rzeczywisto-sci należy uznać za typowe dla in-teligenckiego dziecka — nie odizo-łowanego całkowicie od wpływów otoczenia. To podkreślam, — bo na-turalnie — dziecko inteligenckie — odizolowane od wszelkich wpływów (np. uczące się w domu i stykające się tylko z rodzeństwem własnym) — nie mogło posiadać takich wiado-mości. Ale odizolowania — nie mo-żemy uznać za zjawisko typowe, po-za tym nigdy nie mogło być ono i-dealnie całkowite. Za typowe nato-miast musimy uznać, że dziecko in-teligenckie pokolenia lat 30-tych — przed wrześniem 1939 roku — cho-dziło do szkoły powszechnej, należa-ło do organizacji ruchowej i stykało się z dziećmi-rówieśnikami z róż-nych środowisk społecznych. Potem był wrzesień 1939 roku. Okupacja.

Każdy z nas — niech sobie dobrze I. Rutkiewicz przypomni — analizował przyczyny szybkiej klęski Ka-żdy to czynił, jeden wcześniej, drugi później, jeden w towarzystwie osób dorosłych, drugi w towarzystwie rówieśników.

No i jakie były wyniki takiej a-nalیزی? Były zapewne rozmaite.

ZACZYNAŁO się od tego: nad-miar kawalerii, brak broni pan-cernej, lotnictwa, nawet artwlerii, nieudolność dowództwa, szarżę u-lańskie na czołgi, szpiegostwo, zdra-da — czyja wina? Rządu sanacyjne-go, który uciekł za granicę. Wina Becka, Mościckiego, Smigłego-Ry-dza, wina osób, wina klikki sanacyjnej, „mafii“, systemu rządów.

Potem do przyczyn klęski wrze-sniowej dołączaliśmy zasłyszane wiado-mości o aferach korupcyjnych: płyty pancerne Vickersa przebijalne zwykłymi pociskami, afery firmy Francopol i inne. Z tym bezpośrednio łączyło się już zagadnienie pene-tracji obcego kapitału, powiązań pol-skiej finansjery z francuską, angielską, amerykańską i niemiecką. Szybki upadek Francji, klęska Anglików (Dunkierka), poważne zagrożenie Wysp Brytyjskich inwazją hitlerowską — wszystko to przyczyniało się do tego, że dotychczasowe osiągnię-cia naszej „myśli krytycznej“ doty-czące Polski — zaczęliśmy przenosić na wszystkie podobne do przedwrze-sniowego ustroje. A niektóre cechy ustroju przedwrześniowego przypo-minały ustrój Francji, Anglii, Sta-nów Zjednoczonych, inne zbliżały go do ustroju Niemiec hitlerowskich i faszystowskich Włoch.

Wielu z nas poza aktywnym czy biernym udziałem w dyskusjach po-litycznych (nie było domu podczas wojny, gdzie by nie dyskutowano nad tymi zagadnieniami) uczyło się także historii — wprawdzie ze sta-rych podręczników — ale z nowymi komentarzami pochodzącymi od na-uczającego. Stamtąd wkrótce dowie-dzieliśmy się o roli dyplomatów an-gielskich, o roli Lloyd George'a w sprawach takich, jak plebiscyt na Śląsku, jak utworzenie takiego dzi-wołagu geopolitycznego, jakim było Wolne Miasto Gdańsk — a potem dowiedzieliśmy się o roli zachodnich dyplomatów i potentatów finanso-wych w sprawach takich, jak faszyzacja Włoch, remilitaryzacja i hitle-ryzacja Niemiec, jak polityka mona-chijska.

Równocześnie słyszeliśmy (przebą-kiwano o tym nieśmiało — niech sobie I. Rutkiewicz przypomni) o a-limentowaniu armii hitlerowskiej w latach drugiej wojny światowej a-merykańskimi dostawami broni i benzyny via Hiszpania. Niewątpli-wie zastanawialiśmy się nad przy-czynami sukcesów Armii Czerwonej, zwłaszcza, że nie było drugiego fron-tu, a Anglosasi ograniczali się tylko do bombardowań Niemiec zachod-nich. Wiedzieliśmy, że przemysł Czech, Moraw, Śląska był poza prak-tycznym zasięgiem tych nalotów.

W stosunku do Związku Radziec-kiego dokonała się pewna zmiana. Kontakty z Rosjanami walczącymi z Niemcami w partyzance, czy z Ro-sjanami-jeńcami pracującymi przy budowie okopów — uznać należy za typowe.

Zdawałem sobie doskonale sprawę, że rząd emigracyjny po śmierci ge-nerała Sikorskiego, po zerwaniu z ZSRR — stracił prestiż i autorytet międzynarodowy. Pojawili się zno-wu nazwiska piłsudczyków. Mikołaj-czyk stał się dla mnie symbolem tego zwrotu. Stanowisko moje było ty-powe nie tylko dla generacji lat 1930-tych; duża część Polaków wów-czas zdawała sobie sprawę z tego, że w osobie generała Sikorskiego traci

## W pogoni za oryginalnością

Rozwiązanie kompozycyjne po-wieści Kurka — nazwijmy je mu-zyczno-lirycznym — wiedzie nas do tradycji modernistycznej, skoro u-przytomnimy sobie, że dla wielu symbolistów ideałem konstrukcyjnym była właśnie kompozycja utwo-ru muzycznego. Jest to jakby wielki poemat, w którym epicki rdzeń opleciony jest bujnie rozrośniętym bluszczem autorskich wynurzeń i re-fleksji. Duży ładunek liryzmu zan-yka się w emfaticznych apostro-fach, eksklamacjach, pytaniach re-torycznych, akcentujących emocjo-nalny stosunek autora do stwarza-nej przez siebie rzeczywistości i wy-suwających na pierwszy plan jego osobę. Kurek dość natrętnie przy-pomina nam, że jest nie tylko pośred-nikiem między odbiorcą a fikcją po-wieściową, ale też że cały ten świat jest przezeń stworzony i zależny od jego kaprysu. Ona próbka jego nar-racyjnej manieri: „Kim jest ten młody, wysoki człowiek, który stoi przy stoliku w kasynie? Jest tak niewiele młodzieńców na Pillar, że można ich zliczyć na palcach jednej ręki; i dlatego musimy go poznać choć ogólnikowo. Właśnie rozmawia z Maruką... Przedstawimy go czytel-nikom (a przede wszystkim czytel-niczkom). Nazywa się Alcnso So-brero i stanowi postać epizodyczną. Przechywa stale na stacji hydrome-teorologicznej, ogarnięty wyłącznie swą pracą. Nie odwiedza nigdy ka-syna. Nie interesują go kobiety“ itd. w tej tonacji, obliczonej na mie-zzeczński gust. Uderza brak dystan-su; autor kryguje się przed czytel-nikiem, swojej relacji stara się na-łać jakiś intymny, konfidencjonalny ton. Jest tu jakaś nonszalancja i poza wobec bohaterów i czytelnika. Oparcie rusztowania konstrukcyj-nego o typowo muzyczno-liryczne

Dokończenie ze str. 9

środki, jak powtórzenie, paralelizm, kontrast czy refren, wytycza zasad-niczy kierunek kompozycyjny. Spójrzmy na wypadki, ogniskujące się w kasynie na Pillar. Nie jest to czysto epicki wątek, bo momenty dynamicz-ne zepchnięte są na plan drugi. Kon-sekwentne powtórzenia sytuacyjne, przeprowadzone przez całą powieść — owa wspólna lektura czasopism — o świetnie służy charakterystyce środowiska. Podobną funkcję pełni owa skrzynka whisky, za którą tak tęsknią Amerykanie z Desolation Sud. Te same sposoby służą mu do wydobycia efektów nastrojowych, pierwsze skrzypce grają tu jednak opisy przyrody i muzyka jako lirycz-ne pendant do przeżyć bohaterów. czy rozgrywających się wypadków. Kiedy zginął Raul Falcon, „na chmurnym niebie wzeszedł księżyc tragicznie czerwony“, a żal Feranandy ko muzyka Chopina. Pisałem wy-żej o zamierzonej swobodzie kom-pozycyjnej „Oceanu Nie-spokojnego“. Trzeba tu dodać, że z luźnych obra-zów i scen które, stanowią niekiedy wyraźnie zamknięte całości, nie włą-żą się bezpośrednio ze sobą, pisarz układa wcale zgrabną i harmonijną mozaikę.

W strukturze językowej „Oceanu Nie-spokojnego“ uderza dzi-waczna niejednorodność. Autor nie umie stworzyć sobie konsekwentnego systemu stylowego i nie mogąc oprzeć się pokusom łatwego efekciar-stwa, chciwie wchłania bardzo nie-raz osobliwe wpływy; „Ocean Nie-spokojny“ rój się od najprzeróżniej-szych reminiscencji stając się szcze-gólną mieszaniną stylistyczną, swo-istym panopticum językowym. Oto jak widok napotykać czy Jurewi-

cza w czasie jednej z podróży: „Wi-dok wstrząsający. Istne pobożowisko. Nie po stronie Pacyfiku, gdzie słoń-ce bezwstydnie obnażało się z kolo-rów mięsistych i najgłębszych, lecz naprzeciwko, z lewej burty, na wier-chołkach patagońskich Andów, ubro-czonych w śnieżną pianie, Chmury, prześwietlone wybuchami światła od oceanu, ociekały czerwienią. Mrok schodził powoli w morze. Szczyty krucwiące silnie od morderczych salw, dogorywały malowniczo ostat-kami szkarlatu. Rana zachodu boleś-nie męczyła oczy“. (podkr. moje — S. B.) Ten ekspresjonistyczny flirt z zachodzącym słońcem jest bardzo znamienny dla techniki opisu Kurka. Z pewnością zaprezentowane tu wła-sności nie stanowią dominanty ję-zykowej „Oceanu Nie-spokojnego“ — więcej znajdziemy tu nastrojowych impresji, czy też stylizacji na bez-namiętną rzeczowość — ale możemy się przekonać, jak jakaś wręcz infan-tylna maniera zabija artyzm. Wsku-tek przesycenia opisu przesadnym określeniami przedstawiane zjawisko staje się dla czytelnika nużące i tra-ci walor wizualny. „Przepływali przez archipelag Chonos. Noc. Tu mieszkała potomkowie Indian z ple-mienia Chongo. Puszcze. Bezładnie. Rybcełwstwo. Ogromne możliwości. Buki, modrzewie, cyrnyisy, Tartaki, celuloza. Meble, parkiety. Chemia“. I znów maniera, znów przesada. „In-der Begrenzung zeigt sich der Meister“ — mówi Goethe. Ale tych właśnie granic, obowiązujących ka-żdego pisarza, Kurek nie wyczuwa czy też wyczuwać nie chce. Brak dyscy-pliny i czujności pisarskiej, nieumie-jetność wewnętrznego skupienia się i poddania prawu selekcji, obsesja ma-

nieryczna — to wszystko źródła po-rażek przesadnie ambitnego pisarza.

Z przerażeniem zauważam, że wbrew wyrażonym na wstępie wątpli-wościami i wahaniem napisałem jed-nak negatywną recenzję. Stało się tak dlatego, że to, co jest w tej po-wieści artystycznie i poznawczo cen-ne, przytłoczone zostaje nadmiarem zdobniczej sztukieterii, barokowych ornamentów, wytartych rekwizytów, denerwujących manieryzmów. Wiele jest w „Oceanie Nie-spokojnym“ cel-nie skreślonych postaci i scen, wiele udanych posunięć kompozycyjnych, tak że w czytelniku budzi się żal do pisarza za to, że psuje nierozważnie obcymi wstawkami swoje rzetelne osiągnięcia. Z drugiej strony te właśnie osiągnięcia zniewalają, by o książce napisać dobrze.

Można mieć zastrzeżenia, czy obraz Chile, jaki daje nam „Ocean Nie-spokojny“, jest pełny, bo jak części-o-wo już wyżej wykazałem, nie brak tu przejawów i skrzywień, po-śpiesznych uogólnień czy też spraw marginesowych. Ale nie są to spra-wy najważniejsze. Kurek odziera Chile z egzotyzujących mgiełek, po-kazuje, że to nie bezroskie Eldora-do, ani kraj niezwykłych przygód. Dostrzega starcie sił historycznych, zaostrenie konfliktów społecznych i groźbę nowej wojny. Odnajduje tu ludzi, żyjących bliskimi nam spra-wami, stających do walki o pokój, postę-p i sprawiedliwość. I w tym leży zasadnicze znaczenie powieści. „Ocean Nie-spokojny“ jest pomyłką wiecznie poszukującego pisarza, ale jednocześnie jest demonstracją tkwią-cych w nim bogatych sił twórczych. Oby to, co zawarte jest w powieści tej im potentia, znalazło już w na-stępnej książce Kurka kształt realny.

Sławomir Blaut

ząd emigracyjny najzdolniejszego ze znajdujących się na emigracji na Zachodzie polityka i dyplomata. Nowy premier — Mikołajczyk — dla wszystkich stał się symbolem niewątpliwych zmian na gorsze.

Okres powstania warszawskiego i później — aż do wyzwolenia przez Armię Czerwoną (16 stycznia 1945 r.) przeżyłem u średniorolnego chłopca we wsi podwarszawskiej. Tam szybko zdałem sobie sprawę z nierealności wybuchu powstania i beznadziejności toczonej walki. Powstanie wygasło. Winą za Sierpień 1944 obciążylem to samo środowisko ludzi, które było już odpowiedzialne za Wrzesień 1939.

Front wtedy rozciągał się 60 km na wschód od miejsca mego ówczesnego pobytu. Jednak front, który ustalił się na Wiśle — nie był nieprzepuszczalny. Wkrótce dotarło do nas nazwisko Bolesława Bieruta. Wandy Wasilewskiej i wiadomość o powstaniu PKWN. Mówiono nawet o stosunkach panujących w Lubelszczyźnie.

Każdy człowiek mieszkający po lewej stronie Wisły wiedział doskonale, że za kilka tygodni rozpocznie się nowa ofensywa radziecka, która wyzwoli ziemie polskie. Wtedy już każdy Polak rozumiał, że władzę na naszych ziemiach — po wypędzeniu okupanta hitlerowskiego — obejmie rząd lubelski. Każdy o tym wiedział, z tym się liczył i do tego się przygotowywał.

Objęcie władzy w kraju przez Rząd Ludowy nie było dla mnie zatem niespodzianką.

Pamiętam dzień wkroczenia Czerwonej Armii. Pierwszy radziecki motocykl — z przyczepki oficer woła do nas po rosyjsku: „My z Wandu Wasilewsku!“.

PIERWSZA gazeta, jaka wpadła mi w ręce po wyzwoleniu, był „Robotnik“ z 21 stycznia 1945 r. Zawarte w nim przemówienia wygłoszone na gruzach wyzwolonej Warszawy, stały się dla mnie manifestem rewolucji. Przemówienie Bolesława Bieruta zawierało zapowiedź odbudowy stolicy. Jedno z innych wygłoszonych tam przemówień zawierało taki passus: „Generale Bórze-Komorowski! Nie wiem, czy usłyszysz te moje słowa. (Bór siedział wtedy w niewoli niemieckiej — dopisek mój A. A.) Lud Warszawy, cały naród polski przeklął cię za to, że spowodowałeś przedwczesne, nieszczerne powstanie. A uczyniłeś to nie z miłości dla Ojczyzny, ale dla brudnej gry o zachowanie władzy dla tego obozu, który jest odpowiedzialny za klęskę wrześniową 1939 roku, który już wtedy zdradził Naród Polski.“

Panowie z Londynu! Wy mnie na pewno usłyszycie. Naród Polski czyni was współodpowiedzialnymi za zbrodniczy postępek Bora, ponieważ wie, że uczynił to na wasz rozkaz.“

Przemówienia te, ten „manifest“ nie był dla mnie „ogromnym szokiem“, jak chce I. Rutkiewicz — wprost przeciwnie — cytowana wypowiedź pokrywała się z moimi ówczesnymi przemyśleniami, zwłaszcza, że w tej samej gazecie, w artykule redakcyjnym znajdowałem program „...stworzenia silnej Polski, opartej o Bałtyk, Odrę i Niszę“. (Nissa — nazwę tej rzeki tak się jeszcze wówczas pisało.)

Faktu, że wielu katolików-inteligentów omawianych roczników wierzło w to, co im było przyjemne, że żywiej reagowało na „radio serca“ niż na konkretną rzeczywistość — nie mogę uznać za zjawisko typowe.

„Nowe“ przyjmowałem przede wszystkim z ciekawością, także z uprzedzeniami, ale bez wrogości. I stosunek taki do rozpoczynającej się Rewolucji uważam za typowy dla ogromnej części młodzieży katolickiej mojego rocznika.

Od 1945 roku — dysponuję już materiałem dowodowym (własne notatki, wypracowania — opatrzone datami) — moja relacja nie stanie się przez to prawdziwsza niż dotąd, ale niewątpliwie lepiej udokumentowana.

Chętnie w owym okresie rozmawiałem z ludźmi, którzy powojennej polskiej rzeczywistości przeciwstawiali jakikolwiek inny ustrój współczesne istniejący i wykazywali, że to lub owo można by z niego przejąć. Z tymi jednak, którzy rzeczywistość powojenną negowali całkowicie — przeciwstawiając jej ustrój Polski przedwrześniowej — zrywałem jako z ludźmi nieinteligentnymi.

W 1945 r. zacząłem czytać prasę tygodniową: najpierw „Odrodzenie“, potem „Tygodnik Powszechny“ — a na początku 1946 r. — prawie równocześnie „Kuznicę“ i „Dzisiaj i Jutro“. Na skutek tego każde moje wypracowanie szkolne miało wydźwięk polityczny. Notatnik osobisty, prowadzony przeze mnie od marca do czerwca 1946 r. przekazuje o rozwoju zainteresowań i poglądów politycznych. Są to notatki z lektury prasy z własnymi komentarzami. Pierwsze strony poświęcone są przebiegowi powstania warszawskiego, dalej omawiam katastrofę Francji w 1940 roku, następnie kolejno takie zagadnienia jak: Niemcy w podziałach okupacyjnych, Ziemia Odzyskana, Komunistyczna Partia Francji, wyniki wyborów w rozmaitych krajach Europy (liczne dane statystyczne), proces generała Michajłowicza, druga rocznica bitwy pod Monte Cassino, Inwazja 1944 r.

Od czerwca do sierpnia 1946 roku prowadzę dziennik-notatnik. Rzeczy białe obok ważnych. Zgoda, że mało typowy: negacja podziemia.

W 1947/8 r. zapoznałem się z dwiema książkami, które wywarły na mnie wielkie wrażenie. Były to: Ksawerego Pruszyńskiego „Margrabia Wielopolski“ i Aleksandra Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce“. W tym okresie w swoich referatach występuję przeciw „romantyzmowi politycznemu“, przeciwstawiając mu „realizm polityczny“ — typu Ksawerego Pruszyńskiego i Aleksandra Bocheńskiego. Jeżeli przypomni sobie dyskusje wypełniające wówczas pisma młodzieżowe w Polsce — to musimy uznać je za zjawisko typowe.

Nie od razu doszedłem do nowej postawy. Dopiero w 1949 roku napisałem w swoim notatniku: „...Jaki program mogą przeciwstawić amerykańscy republikanie, czy demokraci, brytyjscy konserwatyści, czy Labour Party — socjalizmowi? Jakiż rząd burżuazyjny potrafiłby w takim tempie i z takim pietyzmem odbudowywać Warszawę? Trzeba sobie jasno zdać sprawę z tego — nawet, gdy się jest katolikiem (a może właśnie dlatego), że komunizm idzie z historią.“

Żałuję bardzo, że nie mogę w ramach swojego artykułu przedstawić dokładnie, z dużą ilością cytatów, takiej ewolucji inteligenta rocznika 1930 — ku socjalizmowi. Niewątpliwie wykorzystując dostępne mi materiały mógłbym ewolucję taką — typową przecież — pokazać na szeregu przekonujących przykładów.

Wydaje mi się, że dobrze zostanie zrozumiany. Atakując artykuł I. Rutkiewicza — nie miałem na celu zwalczać jego słusznych założeń ideowo-politycznych. Chodziło mi tylko o to, by wykazać, jak niebezpieczne jest takie generalizowanie. Jak niepełnie dokładnie przemyślane uogólnienia mogą wypaczyć sens ideowo-politycznych założeń, zniechęcić czytelnika.

Andrzej Aksak

## »Ktoś piszący z Warszawy«

Dokończenie ze str. 4

współpracy i zbieżności poglądów polityczno-społecznych pisarzy tego zespołu. Nie ulega jednak wątpliwości, że *gros* powieści, pamfletów, rozpraw i broszur, które zaraz pokrótce omówimy, napisał sam Jezierski — i to jak już zaznaczyliśmy — w zadziwiająco krótkim czasie. Listę utworów otwiera „Goworek, herbu Rawicz, wojewoda sandomierski. Powieść z widoku we śnie“. Jest to historia intrygi magnaterii z wieku XII, która dla osobistych ambicji wciąga kraj w klęski wojen i zamieszek wewnętrznych. Oczywiście kryła się w tej powieści dość wyraźna aluzja do epoki współczesnej Jezierskiemu.

Rozprawa pt. „O bezkrólewicach w Polsce i wybieraniu królów, począwszy od śmierci Zygmunta Augusta aż do naszych czasów“ — napisana wspólnie z Hugonem Kołłątajem, była odprawą udzieloną reakcyjnej części szlachty, która broniła wybieralności króla. Uzasadniano w niej historycznie, że elekcyjność tronu w Polsce była przyczyną anarchii, umożliwiając obcym mocarstwom mieszanie się w sprawy kraju i stanowiąc źródło potęgi magnaterii.

Do najważniejszych prac Jezierskiego należy dalej powieść historyczna pt. „Rzepicha, matka królów, żona Piasta...“ Utwór ten godzi w przesady stanowe szlachty, stawiając jej za wzór władcy chłopca, Piasta. Szlachę pojęciem o niewolniczym przeznaczeniu chłopca Jezierski przeciwstawiał dzieje Piasta i Rzepichy, których wysokie zalety charakteru zawiodły na tron.

A oto „Katechizm o tajemnicach rządu polskiego“, który za życia twórcy (a ponoć Śniadecki był współtwórcą) osiągnął cztery wydania! „Katechizm“ w sposób pełen zjadliwej ironii demaskował obłudę szlachty, która uznając istnienie duszy w człowieku, traktowała chłopca jak bytoby robocze. Ale nie tylko o ponizniu chłopca czytamy w „Katechizmie“. Jezierski rozprawia się z możnowładztwem, elekcyjnością, wskazuje na braki wewnętrznej i zewnętrznej polityki w kraju, a nade wszystko chłopskie szlacheckie przywileje stanowe.

Posłuchajmy katechizmowych pytań i odpowiedzi:

„P. Jakie są szczególniejsze zaszczyty stanu szlacheckiego w Polsce?“

O. Wolność i równość.

P. Jakże równość przez prawa powagę może równać rozrządzenia Opatrzności?“

O. Szlachta w Polsce, ponieważ są ludźmi, są jedni bogaci i ubodzy, uczeni i nieumiejętni, rozumni i głupi. Owóż mają najgłówniej przywilej swej konstytucji, że mimo te różniczenia Opatrzności ci są sobie wszyscy równi i jak prędko w Polsce jest kto szlachcic, już do niego nie należy ani ubóstwo, ani głupstwo; ale święta równość prawa wynosi go nad to wszystko, co Opatrzność po części rozdała ludziom.“

„Jarosza Kutasińskiego herbu Dęboróg, szlachcica lukowskiego, uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce“ — to znów broszura, napisana w formie autobiografii (nie należy uważać jej za pamiętnik Jezierskiego, choć sporo tam wspomnień z jego własnego życia). W utworze tym autor przedstawia ustrój społeczny i atmosferę drobno-szlachecką za czasów Augusta III. Drohny szlachetka, uzależniony od możnego pana, swą ciężką pracą i marnym stanem majątkowym mało się różni od chłopca. Ale dumny jest z posiadania „klejnotu“ *recte* herbu — czyli w teorii równy jest największym panom-magnatom. Przedstawiając typowo dla epoki sylwetkę zubożałego i ciemnego jak tabaka w rogu szlachetki Jarosza Kutasińskiego, Jezierski widzi polepszenie doli rzeszy tych

zapatrzonych w swój „klejnot“ szaraków przez wprowadzenie reform ustrojowych, przez rozwój właściwej, nowoczesnej „edukacji narodowej“.

Na podstawie dzieła Siyès'a opracował Jezierski utwór „Duch nieboszczki Bastylli, cz. nięcy uwagi nad karą więzienia, niewoli i nad stanem pospólstwa francuskiego w dzisiejszej odmianie rządu“. Biorąc tu w obronę mieszczaństwo, Jezierski szeroko udokumentował odpowiedzi na następujące trzy pytania: Czym jest stan trzeci? (Wszystkim). Czym był dotąd w układzie politycznym? (Niczym) i wreszcie: Czym być powinien? (Czymkolwiek).

Pomijając już takie utwory jak „Wypis z kroniki Witykinda“ (cięty pamflet na przywódców Targowicy), satyrę „Kat krakowski“, broszurę „Głos na przedce do stanu miejskiego“, inną broszurę „Ktoś piszący z Warszawy“, (z której cytat otwiera niniejszy artykuł) — zatrzymajmy się przy jednej z najciekawszych prac Jezierskiego, charakterystycznej dla współczesnej mu epoki. Mamy na myśli „Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane i stosownym do rzeczy uwagami objaśnione“. Jest to *sui generis* „słownik filozoficzny“, wzorowany niewątpliwie na pracy encyklopedystów, pełen wnikliwych i giębkich spostrzeżeń, aczkolwiek nie wykończony, niekiedy chaotyczny, wykazujący brak opracowania szczegółów.

Służąc programowi politycznemu, wytyczonemu przez Kołłątaja, Jezierski w „Niektórych wyrazach“, podobnie jak i w innych swych utworach, atakuje magnaterię, drzwi ze szlachetczyzny, broni stanu trzeciego czyli pospólstwa — mieszczaństwa i chłopów. Zajrzyjmy do niezwyklego słownika. Np. pod literą „A“ znajdujemy taką oto zwięzłą i uderzającą swą logicznością definicję:

ARYSTOKRACJA — jest przywłaszczenie rządu i przewodzenie bezprawne w postaci prawa, usługując się pozorami jego powagi. Arystokraci mają znaczenie w kraju nabyte niesłuszną, tak jak złodzieje mają dostatkli nabyte kradzież.“

Jezierski w swych świetnych „Niektórych wyrazach“ nie tylko biada nad stanem Rzeczypospolitej, nie tylko jest satyrykiem politycznym, choć to może zasadniczy motyw jego twórczości. Czasem przypnie łatką plotkarzom („BAJKI — a plotki nie jedno znaczą. Bajki powiadają nieprawdę dla pokazania prawdy, plotki zaś chcą fałszu i kłamstwa udawać za prawdę.“) Niekiedy ośmieszają chorych z urojenia i kwękające niewiasty, pisząc pod hasłem CHOROBA: „...prócz chorób złączonych z własnością natury są choroby wymyślowe i dziwactwa; kobiety, ta pleć lubiąca próżnowanie i próżność, jakby na usługę wdzięków swoich powymyślały szpazmy, wapory i insze dziwactwa słabości.“). Kobietom nie daruje równie i pod hasłem CHRONOLOGIA, gdzie umiejętnie łączy żart polityczny z fraszką na niewiasty. „W szczególności nieprzyjaciółkami pewności chronologii są kobiety i szlachta, ponieważ szlachta nie cierpi niedawności swego szlachectwa, kobietom zaś zawsze niecznośna starość wieku, pierwsi zaś przyczyniając lat, a drudzy ujmując psują chronologię“. Gdy tak sobie dweruje Książdz Kanonik z niewiast, są to tylko literackie facecje polskiego encyklopedysty, Jezierski nie jest bynajmniej zaśniedziałym antyfeministą. W innym miejscu, pod hasłem KOBIEETY znajdujemy ważne słowa, potwierdzające jak najdalej idące postępowe przekonania ich autora.

„Kobieta albo niewiasta, druga połowa rodzaju ludzkiego, wspólnej jest natury z mężczyzną i w niczym nie jest oddalona od wykonywania woli, zażywania rozumu i władzy sił swoich. Cnoty i niecnoty mogą być równe dziełom obojczy płci, sposobność w życiu przymiotów równie być może tak u kobiet jako i mężczyzn.“

Niesposób tu omówić nawet części tematów, które porusza Jezierski w swych „Wyrazach“, jest ich taka obfitość, jak i słów w języku. Pisze o modzie, o nauce, o lichwie i logice, o teatrze i męstwie, o miastach i ministrach, od czasu do czasu zapuszcza się w gęstą historycznych przykładów. Gromi obżarstwo i pijaństwo, chwali trzeźwość („Trzeźwość, wyraz własny polskiego języka, ale jeszcze nie nazbyt własny polskiemu narodowi“). Czasem dowcipna i jakże zjadliwa krytyka bolączek życia społecznego sięga u Jezierskiego szczytów maesterii. Oto pod hasłem ZŁO-DZIEJ, wyjaśnia z prostotą: „Ten wyraz nie znaczy urzędu, ale tylko skłonność korzystania z cudzego...“.

Po zapoznaniu się z bliską z twórczością Jezierskiego nie dziwimy się wcale, że współcześni nazywali go „jednym z najdowcipniejszych ludzi końca XVIII wieku“, ale też zrozumiałe jest, dlaczego byli wśród nich tacy, którzy mówili o nim, że jest „najnieroztropniejszym w świecie zuchwałcem albo najniecnotliwym zbrodniarzem“. Ci ostatni — to dotknięci osobieście magnaci, zaufana w sobie szlachta, przekupni urzędnicy i posłowie.

\*

Zapoznanie się z twórczością Franciszka Salezego Jezierskiego u-możliwiła nam ostatnio PIW\*). Dotychczas jedynym chyba dostępnym dla szerokich mas czytelników źródłem wiedzy o Jezierskim była książka B. Leśnodorskiego „Książca Kołłątajowska“ (Biblioteka Narodowa) i przedwojenna, zresztą subiektywna i częściowo tylko odpowiadająca prawdzie powieść W. Berenta — „Diogenes w kontuzju“.

Zasługuje na uwagę dokładne opracowanie „Wyboru pism“, na które składają się objaśnienia słownikowe oraz przypisy rzeczowe do poszczególnych utworów, jak też interesujący wstęp, pióra Jerzego Ziomka. Ze wstępu tego dowiadujemy się, że „pisma Jezierskiego ukazują się obecnie po raz pierwszy od 160 lat“. Życzyć im tedy trzeba, ażeby po półtora wiecznym zapomnieniu zdobyły u nas należną im popularność jako presty i sugestywny przykład polskiej myśli postępowej XVIII wieku.

Gracjan Kozłowski

\*) WYBÓR PISM — FRANCISZEK SALEZY JEZIEJSKI. OPR. Z SKWAR CZYNKI. WSTĘP — I. ZIOMEK. PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, KRAKÓW 1952. STRON 352.

Zawiaqamiamy Przewielebne Duchowieństwo	
ze	
KSIEGA PODATKOWA Nr 11	
(księga przychodów i rozchodów dla duchownych)	
jest do nabycia w sklepach	
„V E R I T A S u“	
Białystok, Dąbrowskiego 1	
Bydgoszcz, 1 Maja 54	
Częstochowa, 7 Kamienia 27	
Gdynia, Swietojanska 46	
Gzyczo, Mickiewicza 36	
Katowice, Garbarska 2	
Kraków, Sławkowska 10	
Lublin, Królewska 7	
Łódź, Andrzeja Struga 24	
Nowy Sącz, Sw. Ducha 3	
Pabianice, Armii Czerwonej 27	
Poznań, Kantaka 10	
Siedlce, Swierczewskiego 20	
Sopot, Prez. Bieruta 7	
Swidnica, Nowolki 48	
Tarnów, Krakowska 39	
Toruń, Rynek Staromiejski 17	
Warszawa, Widok 5	
Warszawa, Mikotowska 43	
Wrocław, Katedralna 8	
Zielona Góra, Swierczewskiego 67	

# Kilka słów o:

## Plastyce

VAN MEEGEREN CZY VERMEER?



Wszyscy pamiętamy historię najbardziej pasjonującego fałszerstwa artystycznego ostatnich czasów. Nieznany malarz holenderski Han van Meegeren okazał się równy talentem słynnemu malarzowi 16 wieku Vermeerowi, którego obrazy są na wagę złota. Wielki fałszerz nie kopiował obrazów lecz malował obrazy o nowej treści podpisując się jedynie nazwiskami sławnych mistrzów. Skazano Van Meegerena na rok więzienia za fałszywe podpisywanie swoich prac, które najwięksi znawcy sztuki uważali za obrazy autentyczne Vermeera, Ha'la, Terbocha, i in. Van Meegeren umarł w więzieniu a obecnie rozgrywa się epilog tej smutnej sprawy. W

Brukseli ma odbyć się proces rozstrzygający nowy spór o obraz „Wieczera Pańska“, który kupiony został od Van Meegerena jako Vermeer (naturalnie uznany jako Vermeer przez ekspertów), a według zeznań Van Meegerena na procesie, był namalowany przez niego samego. Coremans, dyrektor centralnego laboratorium Muzeów Belgijskich twierdzi, że „Wieczera Pańska“ jest dziełem Van Meegerena a Decoen, znany historyk sztuki, chce dowiedzieć, że Van Meegeren był kiepskim fałszerzem, a obraz ten jest rzeczywiście dziełem Vermeera.

Obrazy Van Meegerena są obecnie więcej warte niż Vermeera — dlatego urządza ten proces właściciel spornego obrazu, miliarder holenderski Van Beuningen. Charakterystyczne dla sprawy Van Meegerena jest to, że wielki malarz holenderski oceniony został jako artysta dopiero po procesie o fałszerstwo — procesie, który przypłacił życiem.

zwrykle cenna satyra na życie wysokich sfer wiktoriańskiej Anglii.

W filmie Asquitha w rolach głównych wystąpią znani aktorzy angielski Michael Redgrave i Joan Greenwood.

Adaptacji filmowej innego dzieła klasycznej literatury angielskiej a mianowicie, słynnej powieści Waltera Scotta „Ivanhoe“ dokonała wytwórnia „Colisee“. Główną rolę gra Robert Taylor. Film został nakręcony w kolorach naturalnych.

## „WARSZAWA“ I „PIERWSZE DNI“ W MOSKWIE

W rocznicę oswoobodzenia Warszawy przez Armię Radziecką odbył się w ambasadzie polskiej w Moskwie pokaz filmu dokumentalnego „Warszawa“. Na pokaz przybyli przedstawiciele rządu i świata artystycznego Moskwy. Doskonały film dokumentalny pokazujący również moment wkroczenia Armii Radzieckiej, wzbudził duże zainteresowanie.

16 stycznia na ekranach kin radzieckich ukazał się polski film fabularny „Pierwsze dni“. Czasopismo „Sowietskoe Iskustwo“ zamieściło recenzję I. Władimierzewa p.t. „Ludzie Polski Ludowej“ w której autor stwierdza, że film „Pierwsze dni“ jest nowym sukcesem młodej kinematografii polskiej, świadczącym o nieustannym podnoszeniu się poziomu ideowego i artystycznego filmu polskiego.

## teatrze

POLSKIE SZUKI  
W CZECHOSŁOWACJI



Wielkim powodzeniem cieszyły się wystawione na scenach teatrów czechosłowackich sztuki współczesnych pisarzy polskich jak: „Odwety“, i „Niemy“ L. Kruczkowskiego, „Zwyczajna Sprawa“ A. Tarna. W bieżącym sezonie teatr Północno-czeski w Libercu wystawił sztukę K. Gruszczyńskiego „Pociąg do Marsylii“. Tę samą sztukę wystawi wkrótce Teatr Armii

Czechosłowackiej w Pradze. Oprócz tego Teatr Kameralny w Pradze przygotowuje „Eugenie Grandet“ w dramatyzacji polskiej A. Wernera. Publiczność czechosłowacka interesuje się również polskimi autorami klasycznymi. Wystawiono już na scenach czeskich „Pana Jowialskiego“, „Damy i Huzary“, „Małż i żona“ i inne.

## 90 ROCZNICA URODZIN STANISŁAWSKIEGO

W dniu 17 stycznia społeczeństwo radzieckie obchodziło rocznicę urodzin wielkiego działacza rosyjskiej sztuki teatralnej, jednego z założycieli Moskiewskiego Teatru Artystycznego (MCHAT) — Konstantego Stanisławskiego.

W Centralnym Domu Pracowników Sztuki w Moskwie odbył się wieczór, w czasie którego wybitni aktorzy, reżyserzy i dramaturdzy radzieccy omawiali dzieło życia Stanisławskiego. W Centralnej Bibliotece Teatralnej otwarto wystawę, poświęconą działalności reżyserkiej i aktorskiej Stanisławskiego.

## muzyce

PROF. ST. WIECHOWICZ  
LAUREATEM



Laureatem dorocznej nagrody Związku Kompozytorów Polskich, przyznanej 17 stycznia w rocznicę Wyzwolenia Stolicy, został na rok 1953 prof. Stanisław Wiechowicz wyróżniony za całokształt dotychczasowej działalności muzycznej. St. Wiechowicz jest profesorem kompozycji w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie i redaktorem działu „Polska literatura chóralna“ w Polskim Wydawnictwie Muzycznym.

## MUZYKA POLSKA W ZSRR

W ramach cyklu „Muzyka państw demokracji ludowej“ odbył się w Moskwie pierwszy, poświęcony muzyce kompozytorów polskich, koncert Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Wszch Związkowego Radiokomiteu,

pod dyrekcją A. Kozłowskiego, B. Goldsteina i S. Neuhausena. Na program złożyły się dzieła Chopina, Moniuszki, Wieniawskiego i Noskowskiego.

## „STANISŁAW MONIUSZKO“ W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Instytut Wydawniczy Związku Radzieckiego „Muzgiz“ wydał ostatnio zbiór artykułów o Moniuszce, pod redakcją I. Bělzy. Książka zawiera artykuł wstępny, krótki życiorys i zarys twórczości kompozytora — pióra K. Stromengera, oraz artykuł Jana Procnika „Listy Moniuszki“. W dodatku podany jest szereg bibliograficzny, spis dzieł Moniuszki.

Miesięcznik „Sowietskaja Muzyka“, omawiając ten zbiór podkreśla, że czytelnik radziecki oczekuje z niecierpliwością

depesza ludzi z miasta Geelong w Australii domagających się sprawiedliwości dla Dreyfusa.

## ZBIÓR POEZJI JULIUSZA SŁOWACKIEGO W JĘZYKU UKRAIŃSKIM

Nakładem państwowego wydawnictwa literatury pięknej Ukrainkiej SRR ukazał się zbiór poezji Juliusza Słowackiego w przekładzie na język ukraiński pod redakcją wybitnego poety ukraińskiego Maksyma Rylskiego.

## „Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI POKOJU W NOWYM ROKU

pod tym tytułem ukazały się w Paryżu kartki pocztowe rysowane przez słynnego francuskiego grafika Jeana Effela.



wydania większej monografii o wielkim kompozytorze polskim.

## wszystkim

ZOLA I SPRAWA  
DREYFUSA

W Muzeum historycznym w Montreuil we Francji otwarto niedawno z okazji pięćdziesięciolecia śmierci Zoli wystawę specjalnie poświęconą dokumentom o aferze Dreyfusa i działalności tego pisarza w tej sprawie. Otwarcia wystawy doznał Jacques Duclos. Między ciekawymi eksponatami znajdują się: numer „Aurory“ gdzie ukazał się historyczny artykuł Zoli „Oskarżam“, portrety przeciwników Dreyfusa — zamieszanych w aferę i —

## NOWA ENCYKLOPEDIA LITERATURY FRANCUSKIEJ

W Paryżu ukazała się ostatnio w opracowaniu Jakuba Nathana nowa encyklopedia literatury francuskiej (Jacques Nathan „Encyclopedie de la litterature francaise“). Autor rozważa życie i twórczość poszczególnych pisarzy na tle epoki w jakiej żyli i bada wpływ jaki wywierali na swych współczesnych. Zaletą jej jest także bardzo piękna szata graficzna, a zwłaszcza bogactwo ilustracji.

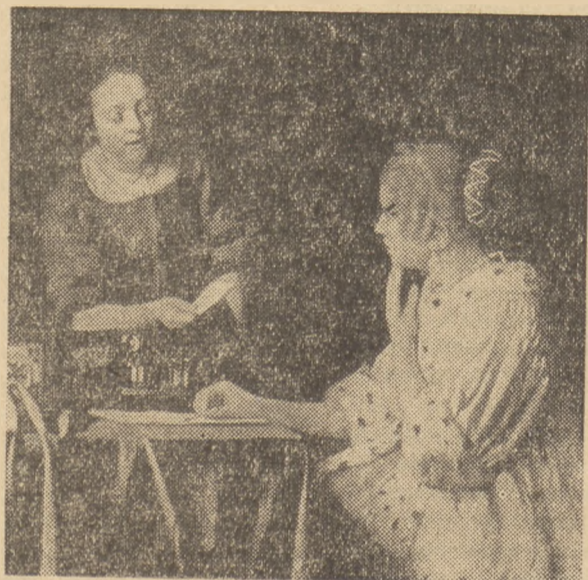
## TEATR NOWEJ HUTY

Socjalistyczne miasto „Nowa Huta“ posiada własny piękny budynek teatralny i własny doskonały zespół amatorski. Już podczas festiwalu amatorskich zespołów teatralnych odznaczył się ten teatr wystawieniem „Wedwili warszawskiego“ Gozdawy i Stępnia w pomysłów i zabawnej adaptacji zmieniającej warszawskich Antków. murarzy na murarzy z Nowej Huty.

Ostatnio wystawiono „Martwe Dusze“ Gogola, które stały się znowu wielkim triumfem zespołu, pracującego pod kierownictwem Jana Kurczaby. Rola Czyczkowa zagrał doskonale elektryk Kazimierz Biżak. Miarą wysokiego poziomu zespołu ochotniczego Nowej Huty jest fakt, że dwaj członkowie zespołu zostali zaangażowani do państwowych teatrów dramatycznych.

## ODZNACZENIE WŁODZI MIERZA SŁOBODNIKA

Niedawno w Łodzi odbył się uroczysty wieczór jubileuszowy poświęcony Włodzimierzowi Słobodnikowi z okazji 25-lecia pracy literackiej tego poety. W dniu tym jubilat został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.



Jan Vermeer — Pani i służąca

## —filmie

W LODACH OCEANU



Realizator radziecki wielu filmów naukowo-popularnych A. Zguridz z operatorem N. Juryszkim ukończyli nowy film naukowy pt. „W lodach oceanu“. Nakręcanie filmu odbywało się w niezwykle ciężkich warunkach dalekiego kraju północnego. Film ten odkrywa przed widzami baśniowy świat zwierząt i przyrody Arktyki, z głębinami Oceanu Lodowatego. Prawie dwa lata trwały zdjęcia na wyspach północnego Oceanu Lodowatego, na morzu Barentsa, oraz na Czukotce.

DWIE WERSJE

## „TRZECH MUSZKIETERÓW“

We Francji powstają równo czesnie dwie wersje filmowe znanego romansu Dumasa „Trzej muszkietierowie“. — Reżyser Andre Hunebelle nakręca „poważną“ adaptację tej powieści, gdy reż. Gilles Margatis przygotowuje scenariusz parodiujący niesamowite przygody D'Artagnana. Komedia Margatisa będzie nakręcona w kolorach naturalnych, a dekoracje projektuje znany malarz francuski Mayo.

## KLASYCZNE DZIELA LITERATURY ŚWIATOWEJ NA EKRANIE

Znany angielski reżyser filmowy Anthony Asquith, który ma już na swym koncie świetną adaptację filmową „Pygmaliona“ Bernarda Shawa przeniósł obecnie na ekran słynną sztukę Oscara Wilde'a: „The Importance of being Earnest“. Tematem sztuki są dzieje dwóch snobów, którzy

## Ten, który nauczył czytać niewidomych



Ludwik Braille

W styczniu b.r. ociemnił cała Polska, zrzeczeni w Związek Niewidomych, obchodzą stuletnią rocznicę zgonu Ludwika Braille'a, wynalazcy pisma dla niewidomych, t. zw. alfabetu kropkowego. Właściwa rocznica minęła w ub. roku, lecz ze względów organizacyjnych obchody jej zostały przeniesione na r. 1953.

Postać Braille'a, mało znana w szerokiej kielach naszego społeczeństwa, zasługuje na przypomnienie.

Ludwik Braille urodził się w 1809 r. w niewielkiej wiosce Coupvray pod Paryżem, jako syn winiarskiego rymarza. Gdy chłopiec liczył 3 lata, skaleczył się w oko podczas zabawy w ojcowym warsztacie i w następstwie tego obrażenia

stracił całkowicie wzrok. Mimo kalektwa Ludwik uczył się do szkółki wiejskiej, w której wykazał nieprzeciętną zdolność. W domu wykonywał pantofle płócienne na sprzedaż.

W r. 1819 dziesięcioletni Braille został przyjęty do paryskiego Instytutu dla Młodych Niewidomych, założonego przez Walentyna Houy u schyłku XVIII w. W tej szkole miał dokonać wynalazku, który rzeszom inwalidów umożliwił naukę, pracę, kulturalną rozrywkę i wydawniczo złączył ich ciężką sytuację.

W szkole paryskiej korzystał w latach nauki Ludwika z książek o piśmie tłoczonym dużymi zwykłymi literami. Była to metoda kosztowna, niepraktyczna w użyciu, nadto ograniczała się do druku, nie dając ociemniałym możliwości ręcznego pisania. Młody rymarczyk korzystał z niej skrzętnie. Na wiekopomny wynalazek naprowadził Braille'a przypadek.

W instytucji zawiązał się kapitan artylerii Karol Bartier i oddał do dyspozycji niewidomych sposób notowania, którego używali wojskowi do zapisywania meldunków w nocy. Metoda ta opierała się na prymitywnych kombinacjach kropki. Piętnastoletni wówczas Ludwik zapałił się do niej i po mozolnych doświadczeniach opracował pęby, używany do dnia dzisiejszego, alfabet dla niewidomych oraz skonstru-

ował rysik, służący do formowania wypukłych punktów na grubym, specjalnym papierze.

Metoda Ludwika Braille'a opiera się na wykorzystaniu wypukłych punktów w ilości od jednego do sześciu w różnych układach, które w sumie dają 63 kombinacje. Pozwala to na oznaczenie wszystkich liter alfabetu, cyfr i znaków przestankowych. Późniejsze badania wykazały, że sposób ten był najlepszym rozwiązaniem problemu, gdyż system, złożony z 5 punktów, dający niewystarczającą liczbę wariantów, zaś system, siedmiopunktowy byłby zbyt trudny do opanowania przez niewidomych.

Humanitarne dzieło Braille'a musiało jednak przez szereg lat walczyć o prawo obywatelstwa. Instytut Paryski uznał je dopiero po 25 latach, jako obowiązującą metodę pisma i druku, później jednak braille'owskie wydawnictwa książkowe i nutowe zaczęły się szybko upowszechniać na całym świecie. Niedogodnością pisma kropkowego, która do tej pory nie została opanowana, jest stosunkowo duży format wydawnictwa. Litery kropkowe są większe od normalnych, tłoczono są w papierze grubym, kartonowym, by się szybko nie zatarty. Powoduje to, iż np. tekst „Quo Vadis“ w piśmie ociemniałych wymaga 13 tomów. Trwałość książek braille'owskich jest też mniejsza od zwykłych wyda-

nictw. Możliwe, że usterki te dalyby się usunąć w drodze ulepszenia masy papierowej.

Ludwik Braille pozostał w paryskim Instytucie jako pedagog niewidomych, ciesząc się nadzwyczajnym uznaniem i przywiązaniem swych wychowanków. Chory przez wiele lat na gruźlicę płuc, zmarł przedwcześnie w r. 1852 w Paryżu. Zwłoki wynalazcy, złożone w domu w rodzinnym Coupvray, doczekały się ostatnio przewiezienia z honorami do paryskiego Panteonu, gdzie spoczywają zasłużeni Francuzi.

Powielanie wydawnictw braille'owskich przez wiele lat dokonywane było w drodze ręcznego kopiowania. Jeszcze po ostatniej wojnie istniały u nas zespoły ociemniałych kopistów, nakładające tekst pod dyktando lektora, np. biuro przepisania w Bydgoszczy. Maszyny drukujące „brajlem“ (tak zwane się popularnie pismo francuskiego wynalazcy) są rzadkie i kosztowne. Obecnie w Warszawie powstaje wielka, nowoczesnie wyposażona, drukarnia tego typu. Alfabetem kropkowym drukowany jest organ Polskiego Zw. Niewidomych, miesięcznik „Pochodnia“. Ukazuje się również szereg wydawnictw książkowych o treści naukowej, społ.-politycznej i beletrystycznej. Przy terenowych okręgach związku istnieje specjalne, nieraz obficie zaopatrzone biblioteki braille'owskie. (L. P.)

Redaguje zespół

Prenumerata miesięczna 1,80 zł kwartalnie 5,40 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p tel 880 71 880 26

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13  
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze  
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam 204. 4-B-10810.